Zet
sztuka kultura sprawy społeczne

DWUTYGODNIK POD REDAKCJĄ JERZEGO BRAUNA

ROK III NR. 15 (63) WARSZAWA, DNIA 1 LISTOPADA 1934 R. CENA 50 GR.

Mowa płk. Sławka a rzeczywistość polska

Ostatnia mowa płk. Sławka porusza zagadnienia tak aktualne i ważne, że każdy Polak, uczestniczący świadomie w kształtowaniu się nowej rzeczywistości polskiej i biorący serjo myśli zawarte w tem przemówieniu, ma obowiązek zająć wobec niej jasno określone stanowisko, podyktowane przez rozum i sumienie; tembardziej, że mówca wyraźnie sam tego pragnie, występując przeciwko bierności i bezmyślności oglądającego się wciąż na czynniki rządzące ogółu, a odwołując się do samorzutnej inicjatywy tych, którzy chcą być świadomymi obywatelami, biorącymi udział w jego życiu.

Uświadomiwszy sobie ten obowiązek, sądzimy, że — zamiast wdawać się w roztrząsania teoretyczne poszczególnych tez przemówienia — najlepiej będzie dokonać konfrontacji tych tez z naczelnemi koncepcjami społeczno - politycznemi „Zetu". Konfrontacja taka będzie mówiła sama za siebie, a gdy okaże się, że ideje nasze w tej dziedzinie nie odbiegają od myśli przewodnich przemówienia płk. Sławka, będzie to dla nas stwierdzeniem, że nie rozmijamy się z linją rozwojową współczesnej rzeczywistości polskiej, dla niego zaś dowodem namacalnym, że myśl i wola chodzą zwykle wspólnemi drogami i rozważania teoretyczne prowadzić mogą do podobnych wyników, co i doświadczenia praktyczne ludzi bezpośredniego czynu. To ostatnie jest bardzo ważne, bo wielu działaczy i mężów stanu wyobraża sobie, że nie istnieje *jedna rzeczywistość*, złożona z różnorodnych składników, które się wzajemnie uzupełniają, lecz dwie rzeczywistości, zupełnie odrębne: praktyczna i teoretyczna, przyczem ta ostatnia uważana bywa za niepotrzebną, fikcyjną, „oderwaną".

I. Na pierwszem miejscu kładzie płk. Sławek w swych rozważaniach potrzebę *wielkiego celu* i umiejętność służenia mu całem swem życiem, nawet za cenę wyrzeczenia się wszelkich osobistych korzyści i sukcesów. Wszelka działalność czyto indywidualna, czy zbiorowa, musi mieć na oku taki cel, jeżeli ma być skuteczną. „Zadaniem każdego człowieka jest nakreślenie tego co ma robić i co leży w jego możliwościach", — tak mówi on o celach indywidualnych. A o zbiorowych: „Oto mam jakiś wielki cel do osiągnięcia, cel może do osiągnięcia trudny, może nawet bardzo daleki; szukam tedy ludzi, którzyby stanęli ramię w ramię, razem ze mną, do walki o ten wielki cel".

Wielki cel to idea, czyli myśl na daleką metę, mogąca stanowić motyw działania dla wielu ludzi, zestrzelających swe wysiłki w jedno ognisko. Oto co piszemy o tem w „Zecie":

„Każdy człowiek wolny i twórczy, chce wiedzieć poco żyje; aby nie być popychanym przez wypadki i zdanym na igraszki ślepego losu, obiera on sobie jakiś *wyraźnie określony cel*, ku któremu konsekwentnie zmierza. Podobnie każdy wolny i twórczy naród, każde społeczeństwo zorganizowane, ustala sobie jakiś plan działania... plan, który nazywamy ideą. Idea to trwale działający motor popędowy, pobudzający dynamikę życia społecznego, to gwarancja ciągłości naszych czynów, to siła koncentrująca twórczość poszczególnych jednostek w łożysko zbiorowego celu". („Zet", nr. 12, rok III. „Zmierzch idei niepodległościowej").

II. Praca dla idei, dla jakiegoś wielkiego celu, musi być bezinteresowna, wymaga samoofiary z materjalnych korzyści i pożądań. Nie znaczy to jednak, by praca taka nie dawała nam nic wzamian. Płk. Sławek mówi: „Poprzez wysiłek osobisty, poprzez trud, poprzez ciężkie nieraz przeżycia osobiste, ludzie ci osiągali jedną wielką dla siebie zdobycz: dochodzili do rozszerzenia własnych horyzontów, do pogłębienia własnego umysłu. Ci ludzie wychodzili po latach wysiłku lepsi i rozumniejsi, niż gdyby na wysiłek ten w życiu swojem się nie zdobyli".

Istotnie, bezinteresowny wysiłek twórczy wzbogaca nas wewnętrznie, a nawet *przetwarza nas* czasem w zupełnie nowych ludzi. Piszemy o tem w „Zecie":

„Chodzi o to, by (człowiek) znalazł zaspokojenie intelektualne i moralne w rozwijaniu i twórczej uprawie tych możliwości, jakie przedstawia dla każdego z nas teren jego działalności społecznej. Wówczas czynność życiowa człowieka staje się *tworzeniem*..." Przez twórczą działalność na terenie społecznym człowiek równocześnie „*tworzy sam siebie*, czynność twórcza ma bowiem tę właściwość, że powraca do swego podmiotu, w postaci spotęgowania jego jaźni, która staje się sprawniejsza i doskonalsza, bardziej wydajna nazewnątrz a spoista wewnątrz". („Zet", nr. 22, rok I. „Społeczność twórców").

III. Człowiek zdolny służyć bezinteresownie idei, jest wolnym i twórczym, pełnym inicjatywy, ufnym przedewszystkiem we własny wysiłek, a nie w czyjąś pomoc. Społeczeństwo będzie tem wartościowsze, im więcej w niem powstanie takich ludzi. W trosce o to zapytuje płk. Sławek: „Dlaczegóż więc dziś rodzi się ta dziwna jakaś bezradność, powodująca ciągłe wołanie o pomoc, ta nieumiejętność ludzka odnajdywania własnym rozumem i własną inicjatywą jeśli nie dróg do naprawy sytuacji ogólnej, to chociażby środków zaradczych, umożliwiających własne bytowanie"... „Zwracając się do społeczeństwa z wezwaniem do wysiłku, do pracy, do inicjatywy... nietylko będziemy bliżsi prawdy, bliżsi realizacji zadania, jakie przed nami stoi, ale ponadto dla tych ludzi, których do wysiłku wzywamy będziemy lepszymi wychowawcami, bo pobudzimy ich do pogłębienia własnych wartości, własnego mózgu".

A oto co piszemy w „Zecie":

„Przechowujemy w sobie wciąż pieczołowicie ten przesąd, że historja i świat urządzeń społecznych powstaje jakoś sam przez się, niewiadomo jakim cudem.... Nie chcemy zrozumieć, że jutro zależy od nas i że oblicze dnia dzisiejszego rzeźbią nasze własne mózgi i dłonie". („Zet", nr. 2, rok III. „O zdrowie moralne narodu"). „Nazbyt długo wierzono w absurd mechanicznej naprawy stosunków... Przecież wiemy dobrze, że źródłem wszelkich funkcyj i procesów społecznych jest człowiek. A jeśli tak, to przemianę świata musimy zacząć nieuchronnie od przemiany człowieka. Bezwątpienia łatwiej jest głosić ślepe, fanatyczne hasła, schlebiające tłumom, łatwiej odwoływać się do autorytetu złota czy bagnetów, łatwiej wreszcie operować bezmyślną demagogją i wszczynać krwawe przewroty socjalne — niż skłonić ludzi do wielkiego wysiłku myślowego, do heroizmu moralnego, do żmudnej uprawy rozumu. Ale droga najmniejszego oporu bywa zdradliwą..." („Zet", nr. 3, rok I, „Człowiek twórczy").

IV. Płk. Sławek oddawna wskazuje na system demagogji partyjnej, szafującej obietnicami wzamian za poparcie przy wyborach, jako na źródło tego bezwładu społeczeństwa. Mówi i teraz: „każda z partyj zaczęła robić wyborcom wszelakie obietnice, stała się niejako centralą, skąd rozwożono te obietnice po kraju"... „I oto ten moment oczekiwania aż zrealizowane zostaną obietnice, zaczął dominować nad wszystkiem, zabijając w człowieku własną jego zaradność i poczucie, że musi on sam przezwyciężać trudności".

A w „Zecie":

„Ponieważ obywatel dzisiejszy, wychowany w atmosferze haseł rewolucji francuskiej, w systemie demokracji parlamentarnej, został przez partje organizujące wolę polityczną narodu, przyzwyczajony do tego, aby *od Państwa wszystko brać, a nic mu wzamian nie dawać* — trzeba wprzód... wychować nowy typ obywatela". („Zet", nr. 23, rok II, „Problem elity"). „Stwórzmy go, zaczynając od samych siebie. Wykujmy typ człowieka o samorzutnym rozumie... człowieka panującego nad warunkami, tworzącego je własnym rozumem i wolą". („Zet", nr. 3, rok I, „Człowiek twórczy").

V. Wytrzebić do reszty te demagogiczne metody, a rozbudzić zato wszechstronną inicjatywę twórczą obywateli „to jest ta podstawowa rzecz — mówi płk. Sławek — od której zrozumienia, i zastosowania zawartej w niej dyrektywy w działalności każdego z nas, zależeć będzie, czy praca nasza wydobywać będzie ze społeczeństwa siły twórcze, czy też będzie zdolność do wysiłku w ludziach zabijać". „Inicjatywa i praca społeczeństwa, harmonizowana z czynnikiem regulującym, jakim musi być rząd, a przejawiająca się już na dolnych szczeblach organizacji społeczeństwa, będzie napewno *najlepszą formą zorganizowania się społeczeństwa w Państwie*".

Widzimy tu rozwinięcie podstawowej idei nowej Konstytucji o sharmonizowaniu czynnika obywatelskiego z czynnikiem rządzącym, czyli wolności z przymusem. Widzimy też próbę urzeczywistnienia „najlepszej formy zorganizowania się społeczeństwa", czyli inaczej mówiąc: koncepcję społeczeństwa doskonałego.

Sięgnijmy teraz do „Zetu":

„Społeczeństwo doskonałe, to zespół obywateli dobrowolnie urzeczywistniających cele końcowe Państwa czyli reprezentujących *wolne posłuszeństwo prawu moralnemu*... Sprawdzianem przynależności duchowej do tej „elity" obywateli, jest ich poczucie odpowiedzialności za Państwo (ugruntowane na honorze osobistym), ich zdolność do bezinteresownego poświęcenia dla dobra ogółu, wreszcie ich dojrzałość polityczna, przejawiająca się w zrozumieniu celów Państwa i jego subtelnej struktury ustrojowej". („Zet", nr. 23, rok II, „Problem elity"). „Ideałem wolnej uległości obywatelskiej będzie... dobrowolne i świadome uczestnictwo obywateli w odpowiedzialności za losy państwa, by opinja, czyli sumienie społeczne, oraz myśl twórcza ogółu, wytryskując z tych dołów, gdzie człowiek styka się bezpośrednio z pracą swoją i z zadaniami życia, przedostawała się z łatwością poprzez wszystkie węzły sieci organizacyjnej państwa aż do mózgu zwierzchnika". („Zet", nr. 1, rok III, „Szlachectwo życia i zasługi"). „Państwo jest systemem równowagi między prawem ludzkiem a prawem bożem, t. j. między wolnością obywatelską, a przymusem władzy". („Zet", nr. 22, II, „Co sądzić o nowej Konstytucji").

VI. Z przemówienia płk. Sławka:

„Zastosowanie w tej pracy metod partyjnych, polegających na popieraniu i propagowaniu przedewszystkiem ludzi należących do organizacji, prowadzić może do wypaczenia samej idei... Zadużo jest ludzi, którzy chcieliby za swoją pracę uzyskać jakąś zapłatę w formie orderu, posady, mandatu poselskiego, czy koncesji... Jeżeli do organizacji dostaje się zbyt dużo takich ludzi, kończy się jej wpływ, jej znaczenie, jej rola dodatnia... Toteż z całą stanowczością zaznaczam, że dla utrzymania naszego autorytetu moralnego musimy wyrzucać z swego grona takich ludzi".

A z „Zetu":

„Otóż błąd podstawowy tych wszystkich systemów (narodowy socjalizm, faszyzm, komunizm) polega na tem, że są to pseudoelity, elity klasowe lub partyjne, powstające nie z doboru najlepszych w narodzie, lecz z mechanicznej przynależności do budującego ustrój i rządzącego danem państwem obozu. Stwarzanie takich sztucznych elit demoralizuje samych ich członków, i obciąża je elementem nietwórczym, małowartościowym..." („Zet", nr. 23, rok II, „Problem elity"). „Większość członków owych elit zapomina o celu końcowym Państwa, służba któremu stanowi ich rację bytu, zaczyna zaś utożsamiać cel tych elit z ich środkami, któremi są różne korzyści i przywileje... Warstwa ta wydaje wówczas coraz mniej osobników, zdolnych do utożsamiania swych osobistych celów życia z celami ogółu; w masie swej staje się ona bezwładna, nietwórcza... pragnie już tylko utrzymać to co posiada, nie widząc, że w ten sposób właśnie wyrodnieje i obumiera". („Zet", nr. 1, rok III, „Szlachectwo życia i zasługi").

VII. „Jeśli zamiast roztaczania przed ludźmi planów jakichś wielkich reorganizacji... położymy nacisk na wychowanie charakterów, największe zrozumienie co znaczy honor, jako czynnik regulujący współżycie między ludźmi, to napewno lepiej przyczynimy się do dźwigania społeczeństwa ku wyższym formom życia... Przejście od frazesów, doktryn i demagogji do rozwiązania realnych trosk życia i wniesienie w to *głębszych regulatorów moralności życia publicznego* jest napewno najważniejsze".

Ten punkt jest najbardziej istotny z całego przemówienia, gdyż: 1) odsuwa od nas widmo niebezpiecznych doktryn czy utopij społecznych, wierzących — jak komunizm czy narodowy socjalizm — w czarodziejskie własności swych programów, 2) przenosi punkt ciężkości przebudowy społeczeństwa *na żywego, twórczego człowieka, na jego charakter moralny*. Piszemy na ten temat w „Zecie":

„Zwalczyć przesilenie może tylko gruntowna przebudowa moralna współczesnego człowieka, a przebudowę tę każdy powinien rozpocząć natychmiast *od samego siebie*... Europa potrzebuje dziś nie komunizmów i faszyzmów, ale jednej prostej i jasnej idei: Europejski człowiek, poczynając od prezydenta ministrów, a kończąc na szarym urzędniku, inżynierze, robociarzu, *odbudować w sobie powinien świadomość moralną, czyli samorzutną czystość norm postępowania*. W każdym wypadku, gdzie sumienie i honor dyktuje mu, że powinien postąpić tak, a jego egoistyczny popęd i interes fizyczny namawia go, by postąpił inaczej, musi on wybrać pierwszą ewentualność... Gdy takim stworzysz sam siebie, gdy obok ciebie takimi stworzą się inni, inaczej kształtować się będą stosunki pomiędzy ludźmi, inną będzie więź społeczna, wydajność gospodarcza, sprawiedliwość ustroju, potęga państwa, płodność duchowa kościoła". („Zet", nr. 9, rok III, „Przedewszystkiem bądźmy ludźmi"). „Nie potęga militarna narodu i nie dobrobyt materjalny klasy, ale *nowy, twórczy człowiek* winien stać się najwyższym celem i ideałem dziejów. Przebudowa społeczna powinna pójść w kierunku stworzenia takiego ładu, w którym ten wolny, lecz *świadomy swych obowiązków* człowiek - obywatel, znalazłby pole i odskocznię do maksymalnego rozwoju swoich sił twórczych". („Zet", nr. 5, rok II, „Gra o sentymenty").

A więc nie obiecywanie raju na ziemi z beztroskiem używaniem dóbr ziemskich, nie panowanie jednej, wyższej rasy nad innemi, niższemi narodami (jak u naszych sąsiadów), lecz odrodzenie moralne *samego człowieka*, zaprawienie go do wolnego, twórczego kształtowania życia, — oto jedyna słuszna i zbawcza idea. Nic nie pomogą przewroty socjalne, ani zwoływanie coraz to nowych konferencyj międzynarodowych, dopóki nie zmieni się, nie przetworzy wewnętrznie sam twórca historji: człowiek.

VIII. Tworzenie nowych, pełnych, twórczych obywateli uważa płk. Sławek za jedyne skuteczne narzędzie „dla zbudowania takiej potęgi Polski, aby współzawodniczące siły i trudności, jakie Polska w swych dziejach mieć będzie, nie stawały się dla nas coraz groźniejszemi, lecz przeciwnie, byśmy coraz łatwiej mogli je pokonywać".

My zaś pisaliśmy w nr. 9, rok I „Zetu", w artykule „Jedyna droga":

„Położenie Polski jest tego rodzaju, że sama konieczność życiowa zmusza ją do wielkości. Pomiędzy Karpatami a ujściem Wisły może żyć albo olbrzym, albo niewolnik — innego wyjścia niema... Ciśnienie militarne, ekonomiczne i socjalne na zachodnie i wschodnie granice Polski jest tak wielkie, że grozi jej zmiażdżeniem, jeżeli nie przeciwstawi mu ona równoważnej siły... Okoliczności wymagają, by (Polska) była mocarstwem pierwszej klasy — podczas gdy przygotowanie jej do tej roli jest żadne... Gdy niema ratunku nazewnątrz, trzeba go szukać w samych sobie. W Polsce musi powstać nowy typ człowieka; idzie tu o człowieka, który z łatwością sprosta zadaniom *ponad siły*. Stworzenie takiego człowieka jest możliwe dzięki temu, że rozum i wola są niewyczerpalnem źródłem energji twórczej, jeżeli się je uprawia i dyscyplinuje należycie... W Polsce mieliśmy liczne przykłady czynu twórczego jednostek, które same dokonywały dzieł, gdzieindziej wymagających wysiłku całych zbiorowisk ludzkich... Gdybyśmy zużytkowali tę polską zdolność *wydobywania z siebie maksimum energji dla realizacji wielkiej idei*, gdybyśmy celowo i świadomie podjęli trud wychowania w Polsce tego typu człowieka — moglibyśmy osiągnąć rezultaty niespodziewane".

IX. Jest jednak w przemówieniu płk. Sławka jeden punkt niezupełnie zrozumiały, ten mianowicie, gdzie krytykuje on „szukanie zawiłych recept na zbawienie Polski", przeciwstawiając im swą koncepcję stworzenia w Polsce nowego typu człowieka - obywatela. Koncepcja jego jest przecież także „receptą na zbawienie Polski", i to bardzo ciężką i trudną do wykonania (jeżeli nie zawiłą), bo *przemiana natury człowieka*, wykorzenienie zeń egoizmu i materjalizmu, a rozwinięcie w nim bezinteresowności i inicjatywy twórczej jest jednem z najgigantyczniejszych zadań, jakie postawione były kiedykolwiek przed narodami. Koncepcja ta jest także „planem reorganizacji" życia publicznego, jest także ideą, wielkim celem, planem na daleką metę. Gdyby więc płk. Sławek potępiał wogóle tych, którzy tworzą tego rodzaju plany, *potępiałby również i samego siebie*.

Mówi dalej płk. Sławek: „Nauczenie się tych prostych rzeczy wydaje mi się niekiedy ważniejsze, niż to bujanie ogólnikowemi programami, *bujanie tematami*, których nie zrozumieją nietylko masy, ale nawet i inteligencja". Otóż te rzeczy napozór tylko są proste, w istocie bowiem chodzi w nich o ideę arcytrudną, skoro ludzie dotąd wszystko raczej uważali za możliwe (najbardziej nawet chimeryczne utopje socjalne), niż przerobienie i odrodzenie moralne człowieka. Co zaś do „tematów niezrozumiałych", to do ich rzędu należą zarówno szczytne ideje religijne, jak i filozofja, nauka i t. p. twory ludzkiego ducha, z któremi niełatwo mózg się upora, ale bez których *nie może być mowy o powstaniu prawdziwie wielkiej kultury*. A przecież tworzenie kultury duchowej jest jednem z najszczytniejszych, a może i najwyższem zadaniem narodu.

Mówi też płk. Sławek: „Rolą organizacji jest rozumne rozdzielenie zadań, aby każdy podejmował się tego co może i umie robić; słowem ustawienie ludzi do życia realnego, a nie do wiecznego rezonowania na temat doktryn". Otóż rodzi się tu pytanie, co to jest właściwie: życie realne? Dla kupca realnem życiem jest handlowanie, dla robotnika praca w fabryce, dla lotnika doskonalenie się w lataniu, dla polityka organizowanie życia publicznego, ale już dla matematyka będzie niem rozwiązywanie równań różniczkowych, dla astronoma mierzenie odległości mgławic gwiezdnych, dla poety pisanie wierszy, dla filozofa filozofowanie. Rzeczą prawdziwego męża stanu i rządcy państwa jest *nie wykluczać żadnej z tych dziedzin twórczego życia narodu*, wszystkie pomieścić obok siebie i sharmonizować, pamiętając, że orkiestra składa się z najróżnorodniejszych instrumentów. Filozofowanie właśnie jest tem co może i umie robić filozof; filozofuje więc na temat życia i śmierci, istoty społeczeństwa i państwa, nauk i sztuki. Pisanie wierszy jest tem co może i umie robić poeta i t. d. i t. d. Gdybyśmy im tego wzbronili, twierdząc, że to niema związku z życiem realnem, kastrowalibyśmy żywy organizm kultury narodowej.

Nie każdy ma możność i zdolność bezpośredniego działania. Dziennikarz „rezonuje" o polityce, choć nie jest osobiście mężem stanu, pisarz „rezonuje" o życiu, choć je tworzy jedynie na papierze, krytyk „rezonuje" o cudzych dziełach, choć samby ich nie potrafił napisać, filozof „rezonuje" o rzeczywistości, wysnuwa logiczne wnioski ze swych założeń i obserwacyj, choć znajduje się jakby poza obrębem tej rzeczywistości. Ale też filozof wytwarza tylko *myśli*, nie mieszając się do bezpośredniego działania; mają na nie monopol ludzie praktycznego czynu, którzy też mogą *wedle własnego uznania* wybrać z myśli filozofów te, które im się wydają pożyteczne i aktualne w danej chwili, inne zaś odrzucić, lub odłożyć na dalszą przyszłość.

Jeżeli więc płk. Sławek miał na myśli utopijne doktryny socjalne, takie jak komunizm czy syndykalizm, które zamiast poprzestać na myślowem opracowaniu, mieszają się do walki bezpośredniej, konspirują, rzucają bomby, wywołują przewroty, to ma on rację zupełną; jeżeli zaś mówi o czystych doktrynach filozoficznych, poddawanych conajwyżej do *nowego rozważania* ludziom praktycznego czynu, to nie ma racji.

Zresztą poza doktrynami, mamiącemi ludzi fikcyjnym rajem na ziemi, istnieją też takie, jak np. filozofja Wrońskiego, która jest doktryną *przeciwko doktrynom*, nawołuje bowiem właśnie do tworzenia nowego typu człowieka, służącego dobrowolnie i bezinteresownie idei, a doskonalącego się przez własny, samorzutny wysiłek twórczy, — do czego, jego zdaniem, Polska jest szczególnie w Europie powołana.

Z powodu reorganizacji wydawnictwa najbliższy numer „Gazety Literackiej" ukaże się nie 1 listopada, lecz z końcem grudnia b. r., z datą 1 stycznia 1935 r., tak że odtąd rok wydawniczy „Gazety Literackiej" pokrywać się będzie z rokiem kalendarzowym.

Przedpłaty już uiszczone przez P. T. Abonentów zostaną zaliczone na nadchodzący rok wydawniczy.

Redakcja „Gazety Literackiej"

Przesądy modne

T. zw. „duch czasu“, — o którym zresztą niewiadomo, czy kształtuje się spontanicznie, jako wypadkowa potocznych opinij, czy też jest w jakiś sposób sztucznie inspirowany — wyraża się głównie w szeregu przesądów modnych, czyli zbiorowych przeświadczeń, których nie można współczesnym wybić z głowy, choć są przeważnie absurdalne, naiwne, fałszywe. Są one wotą stereotypową, standartową postawą wobec rzeczywistości, postawą ustaloną przez długoletni nałóg myślowy, przekazywaną nierzadko z pokolenia na pokolenie tak jak się przekazuje „savoir vivre“, szablonowe gesty powitalne, tradycyjne pijackie piosenki. Przesądy takie wrastają w sam rdzeń mózgu i trudno je stamtąd wykorzenić. Postokroć odsłaniane, piętnowane, nawet wyśmiane, pojawiają się wciąż na powierzchni życia, podobne do hydry z uparcie odrastającemi głowami.

Z „przesądów modnych“, splecionych w głowach ludzkich w jeden nierozwikłany węzeł, powstaje ten przedziwny twór, który pozwolę sobie nazwać „rzeczywistością ułatwioną“ (na wzór prof. Bartla „rzeczywistości urojonej“). Jest to pogląd na świat, przykrojony na miarę krawca, oheblowany do codziennego użytku, wyzwalający z niewygodnych „niepokojów metafizycznych“ i dający tłumnemu pogłowiu przeciętnie inteligentnych osobników znakomitą broń przeciwko tym, co — na podobieństwo Sokratesa — chcieliby dźgać ostrogą myśli i sumienia zaleniwiałą, dychawiczną szkapę.

Spróbuję oto wyłuskać z niedojrzałej łupiny umysłowości Polski współczesnej kilka takich „przesądów modnych“.

Frazes o „frazeologji“

Gdy polski „inteligent“ bierze do ręki książkę lub artykuł, nad którym trzeba uczciwie popracować głową, doznaje naprzód uczucia dezorjentacji, następnie niemiłego znużenia, a wreszcie popada w gniew, że ktoś „przemądrzały“ śmie pisać tak, że on „chyba dość inteligentny i wykształcony człowiek“, nie może go zrozumieć. Polacy, choć jako zbiorowość chorują na swego rodzaju „kompleks niższości“ i skłonni są mniemać, że wszystko zagranicą jest lepsze niż u nas, osobiście są bardzo zarozumiali (przysłowiowa, tradycyjna, szlachecka buta), to też nie chcą nawet dopuścić tej myśli, że jeśli czegoś nie rozumieją, to dlatego, że nie są jeszcze przygotowani do „rozgryzienia“ tak skomplikowanej problematyki umysłowej. Zamiast więc obwiniać samych siebie, mają pretensję do autora owej książki czy artykułu. Powiadają wówczas: „to frazeologja“ i to w dodatku „mętna“. Epitetem: „mętna frazeologja“ szafuje się u nas bez miary; zamaszystość sarmacka nie dba przytem o klasę intelektualną dzieł, które w ten sposób lekkomyślnie dyskwalifikuje. Z pod tej reguły nie wyłamują się u nas ci nawet, których praca zawodowa powinna nauczyć zażyłości z *czystem myśleniem*: słyszałem np. o pewnej asystentce profesora filozofji na jednym z naszych uniwersytetów, która na seminarjum filozoficznem odradzała słuchaczom powoływanie się na Kanta, bo ta „Krytyka czystego rozumu“ to „jakieś takie mętne“...

Niedawno prof. St. Cywiński, w jednej ze swych recenzyj uważał za stosowne zaczepić znienacka „Zet“, który — jego zdaniem — szerzy w Polsce „frazeologję“ (szkoda, że nie „mętną“). Zadałem sobie trud przewertowania dwu roczników „Zetu“, żeby się dorozumieć o co chodziło panu profesorowi, gdy sięgał przeciwko nam po ten zwulgaryzowany epitet: niestety bez rezultatu. Znalazłem wprawdzie kilkaset artykułów i rozpraw poświęconych m. in. filozofji historji, filozofji państwa, filozofji muzyki, filozofji matematyki, mechanice niebieskiej, zagadnieniom ekonomicznym, metafizyce Brzozowskiego, symbolice teatru Wyspiańskiego, znalazłem polemiki i studja Witkiewicza, prace prolegomeniczne Cz. J. Kozłowskiego nad Wrońskim, oraz liczne artykuły poświęcone aktualnym zagadnieniom społecznym i politycznym, z „frazeologją“ jednak — i to z tak rażącą frazeologją, że wolno pod tym nagłówkiem cenionemu pracownikowi naukowemu załatwić się z całym paroletnim dorobkiem „Zetu“ — nie udało mi się zetknąć.

Począłem się tedy zastanawiać, czy prof. Cywiński rozumie dobrze termin, którym się posługuje. Cóż to jest: frazes? Każdy odpowie, że jest to ogólnik bez pokrycia. U nas w „Zecie“ niema wcale ogólników *bez pokrycia*, bo poza szerzonemi przez nas koncepcjami i pojęciami stoi całkowity, potężny, z matematyczną konsekwencją opracowany i udowodniony systemat filozoficzny, którym zajmują się od szeregu lat wybitne umysły zagranicą i do którego odesłać możemy w każdej chwili po „pokrycie“ wszystkich naszych krytyków i oponentów. W stosunku do niewielkiego ułamka wygłoszonych przez nas idej tej doktryny, ona sama, wzięta w swym całokształcie, stanowi pokrycie w złocie conajmniej 1.000-procentowe. Natomiast chlapnięty lekko na papier zarzut prof. Cywińskiego, nie poparty i nie udowodniony niczem, jest typowym ogólnikiem bez pokrycia.

Wogóle słowo: frazes, jest najogólniejszym ogólnikiem, jaki tylko można sobie wyobrazić. Wiadomo, że pod to określenie podciągano i podciąga się dotąd wszystko, co kto chce i nie chce. Jako klasyczny „ogólnik bez pokrycia“ zarzut frazeologji jest więc najordynarniejszym ze wszystkich możliwych frazesów.

Teorja i praktyka

Dziedzina rozumu teoretycznego i rozumu praktycznego, to niewątpliwie dwie rzeczy różne. Wyraźnie unaocznił to Kant w swoim słynnym podziale „krytyki rozumu“. Nie znaczy to jednak by człowiek, umiejący władać całą pełnią władz i funkcyj rozumu, miał wyrzekać się myśli, dla wyłącznej gloryfikacji czynu. Tymczasem „duch czasu“ sprawił, że ostatnio „teorja“ popadła w zupełną niełaskę, a zato święci triumfy bezpośrednia, „z realnem życiem związana“, „praktyka“. Szczególnie w Polsce szaleje ten modny przesąd. Patrząc na tych wszystkich histeryków bezpośredniego działania, paplających z pogardą o „teorjach“ i „doktrynach“, trudno nie wspomnieć na prorocze słowa Norwida o „czynownikach Czynu“ i o „energji, która to tylko wie, że ugania“.

Bezwątpienia czyn jest owocem życia, czyn tworzy fakty i rzeźbi oblicze historji; ale kto zada sobie trud przewertowania dogłębnego jej kronik, ten się przekona, że czyn wtedy tylko był skuteczny, wtedy tylko wyrastał ponad jednodniowe „efemeridjony“, gdy poprzedzała go myśl naprzód powzięta, plan dobrze opracowany, idea. Myśl nieurzeczywistniona czynem jest w samej rzeczy tylko schematem, duszą bez ciała; ale czyn bez myśli, czyn bez motywacji rozumnej, nie różni się niczem od ślepych, instynktownych, biologicznie uwarunkowanych funkcyj zwierząt.

Rozpowszechniona jest w Polsce pogarda dla koncepcyj wydedukowanych z myśli czystej, dla wszelkich rozumowo uzasadnionych planów. Dlatego Polska nie miała nigdy głęboko opracowanej idei, a historja jej składała się z niepowiązanych epizodów, z szeregu inicjacyj jednostek wybitnych, które pociągały za sobą naród nawet nie swojemi kierowniczemi myślami, lecz swą wolą i urokiem osobistym. Zato umieliśmy bez namysłu wsiadać na koń, zanim rozważono, czy chwila jest odpowiednia potemu (przypominam ów wyszydzony przez Słowackiego „ideał kolorowego ułana“). Była u nas zawsze spontaniczna pochopność do czynu, brak było zato myśli, planu, strategji czynów. Stąd wieczne improwizatorstwo, niemoc organizacyjna, przysłowiowy bałagan.

Można zgóry przewidzieć, z jaką odpowiedzią spotka się u nas ten, ktoby chciał wystąpić z jakąś na dalszą metę obmyśloną koncepcją organizacji polskiego życia. Usłyszałby stereotypowe: „ja jestem, panie, człowiek trzeźwy“, „to jest teorja, a ja cenię tylko praktykę, czyn, życie“. A przecież ludzie bezpośredniego czynu, działający pod sugestją okoliczności, popychani przez instynkt i namiętność, to właśnie „nietrzeźwi“, to opilcy, lunatycy chwili; miano „trzeźwych“ przysługuje — przeciwnie — tym, którzy powodują się w życiu rozumnym planem, u których myśl poprzedza działanie.

To jest niezgodne z życiem

Co to jest życie? Na 30 miljonów mieszkańców Polski może tylko paru będzie umiało wykrztusić jakąś odpowiedź na to pytanie. Każdy z nas żyje, choć nie ma zielonego pojęcia, czem jest i poco jest życie. Mimo to każdy uważa za stosowne pouczać innych, co jest zgodne, a co jest niezgodne z życiem.

A co to jest realna rzeczywistość? Tego także nikt nie wie, a gdyby się komuś zdawało, że wie, to przyjdą do niego mędrcy, i — jak to czynił Sokrates — wykażą mu z łatwością absolutną jego niewiedzę w tym względzie. Problemat rzeczywistości jest przecież od tysiącleci szkopułem wszystkich filozofij, które, pomimo wysiłku najpotężniejszych głów ludzkości, doprowadziły zaledwie do tego, że oczyściły ten problemat z różnych naleciałości, przesądów i mitów, i założyły go przynajmniej w sposób naukowo dozwolony *). Mimo to każdy laik i — użyjmy silniejszego wyrażenia — każdy pierwszy lepszy bałwan z nieunieblowaną łepetyną, uważa się za powołanego do osądzania, co jest a co nie jest zgodne z realną rzeczywistością.

Jołop taki jeden z drugim nie dostrzega nawet, że koło niego krążą miljony osobników, z których każdy rozumie pod określeniem: „realna rzeczywistość“ coś zupełnie innego. Dla murzyna realną jest puszcza, polowanie, uprawa manioku i sto tysięcy rozmaitych demonów; przywieziony do Londynu, nie wie poco ustawiono te wąwozy z kamienia, które my znamy pod mianem ulic. Niektórzy brazylijscy autochtoni wierzą, że są lampartami, a nie ludźmi, a przytem nie odróżniają wcale majaków sennych od jawy. Dla Hindusa świat jest kupą złudnych, nierealnych widziadeł, rzeczywistością zaś jest niebyt absolutny, czysta, oderwana powszechność: Nirvana. W Europie rzeczywistością jednych jest robienie pieniędzy, drugich dążenie do zbawienia, trzecich bezinteresowne dociekanie naukowe; dla materjalistów rzeczywistym jest porządek fizyczny świata, dla fideistów, religijnych, rzeczywistym jest porządek moralny, świat wartości. Konia z rzędem temu, kto udowodni, że tylko to co robi „trzeźwy“, „praktyczny“ ciułacz pieniądza, kupiec, rentjer czy rolnik, jest zgodne z realną rzeczywistością, z realnem życiem. Przypomnę choćby tylko Chrystusa: „nie skarbcie sobie skarbu, który rdza przegryzie, woda poniesie“.

Wolno stwierdzić, że istnieje wiele rozmaitych sposobów życia, być może uporządkowanych w jakąś rozumną hierarchję typów niższych i wyższych, wolno powiedzieć, że się nie rozumie, dlaczego ktoś tak a nie inaczej żyje, głupstwem jest jednak wołać z pyszałkowatą ciasną apodyktycznością, że to lub tamto nie jest zgodne z życiem ;może się bowiem zdarzyć, że taki śmieszny pyszałek stanie gdzieś kiedyś na jakimś sądzie, gdzie mu powiedzą, że to, co on robił, było właśnie najgłupszym i najbardziej karygodnym ze wszystkich możliwych sposobów „przeżycia życia“.

Wolno zato przypuszczać, z największem prawdopodobieństwem logicznem i matematycznem, że rację ma raczej ten, co uznaje i urzeczywistnia typ wyższy, niż ten, co zadowala się niższemi ideałami życiowemi; że rację ma raczej ten, co ogarnia większy zakres rzeczywistości i prócz celów zrozumiałych dla przeciętności, , dostrzega jeszcze inne, wspanialsze, godniejsze, rozumniejsze cele, niż ten, co życiem i rzeczywistością nazywa to tylko, co ma nawprost swego nosa, i z czem się styka bezpośrednio. Ergo: czynności filozofów, wielkich twórców, świętych, reformatorów, są o wiele bliższe owej „realnej rzeczywistości“, o wiele zgodniejsze z rzeczywistymi prawami życia, niż czynności tych zwykłych „zjadaczy chleba“, rzekomo tak trzeźwych, realnych i praktycznych.

Religja faktu

Wiele religij wyznają ludzie na naszej ziemi. Są nawet i tacy, którzy szydzą z religij, uważając je za fetyszyzm, przesąd, ciemny zabobon. A jednak najprymitywniejsze nawet religje, jak szamanizm czy wielobóstwo, są o wiele rozumniejsze, o wiele bardziej uzasadnione, o wiele szlachetniejsze wreszcie, niż pewien wierutny zabobon, rozpowszechniony wszędzie, który nazwę: „religją faktu“. Rzecz przytem charakterystyczna, że właśnie te zlaicyzowane głowy, które najgłośniej perorują przeciw ciemnocie i przesądom religij, grzęzną najczęściej w tym grubym zabobonie po same uszy.

W imię tej wiary w fakt, w konkret namacalny, znieważa się notorycznie — nietylko u nas — ścisłe rozumowanie, czyli wnioskowanie z samych zasad rozumu, mniemając, w komicznej naiwności, że fakt stanowi jakieś absolutne kryterjum rzeczywistości. Gruboskórcy ci podkpiwają sobie z „absolutu“ filozofów, ale sami każą nam wierzyć (nawet nie *wiedzieć*) w swój ślepy, przypadkowy, obskurnie irracjonalny absolut: „fakt autentyczny“.

Otóż pomijam już to nawet, że aby mógł zajść fakt jakikolwiek, musi wprzód być podmiot myślący, który go stwierdza, że tedy struktura faktu jest ściśle zależna od naszych zmysłów, od naszej uwagi, od naszego intelektu i naszej woli; pomijam już to, że fakt byłby nieokreślonem jakiemś „niczem“, gdyby nie prawa i kategorje umysłowe, które go wyróżniają z tła, wiążą, nadają mu jedność i znaczenie, tłumaczą go i opisują; pomijam i to, że fakt, już nietylko poddany filozoficznej analizie, ale badany przez nauki przyrodnicze, rozpływa się na mnóstwo składników, przyczyn, warunków, które czynią go *względnym* do wszystkiego, czemś irracjonalnem, dającem się w nieskończoność różniczkować i warunkować. Chcę wskazać jedynie na to, że fakt nigdy nie jest pewny, zawsze jest problematyczny i przypadkowy, przez co t. zw. świat faktów, dopóki nie powiąże go myśl, podporządkowując go koniecznym, apriorycznym prawom, jest tem właśnie, co stare mity greckie ochrzciły mianem: *chaos*.

Powiada się, że fakt daje nam bezpośrednie doświadczenie. Wiadomo jednak, że doświadczenie powstaje tylko dzięki stałym zasadom i formom naszego umysłu, które ten chaos (ciemną materję faktów) określają i porządkują. Doświadczenie, — a więc i poznanie faktu — zachodzi tylko dzięki idejom prawdy, pewności i związku przyczynowego, znajdującym się w naszym własnym rozumie.

Jeżeli więc będziemy ograniczali rozum, w imię osławionej „zgodności z faktami“, będzie to „szlusowanie do chaosu“, rezygnowanie z prawidłowości na rzecz dowolności i bezprawia. Do tego właśnie doprowadza dziś rozwój wypadków, naskutek groźnego rozpowszechnienia się zabobonnej, mistycznej wiary w fakt. Dziwnem jest tylko, że — skoro świat faktów stawiamy wyżej, niż prawdy rozumu — postępujemy wbrew temu, narzekając wciąż na zło, cierpienie, krzywdę, nędzę, zamiast godzić się z faktami; dziwnem jest, że wciąż próbujemy przerobić i poprawić ten świat faktów w imię idej: ludzkości, sprawiedliwości, planowej gospodarki i t. p. koncepcyj, czerpanych właśnie z czystego, oderwanego rozumu.

Irracjonalizm

I znowu „przesąd modny“, tym razem nie urodzony w dole, lecz lansowany z góry. Rozwój nauk przyrodniczych, z ich ubóstwioną metodą eksperymentalną, doprowadził z końcem XIX-go wieku do negacji metafizyki, jako dziedziny rzekomej dowolności, fantazji i — jak odważają się mówić niektórzy fanatycy empirji: — obłędu. Rozumowano tak: ponieważ jedyny sprawdzian mamy w doświadczeniu, wiedzą jest tylko to, co się gruntuje na danych doświadczenia, danych zmysłowych; wszystko, co wybiega poza te dane, wszystko co snuje konstrukcje umysłowe z samego tylko rozumu, musi być poza-rozumnem, irracjonalnem.

Przesąd ten wyrósł: 1) z niezdolności rozróżnienia filozofji (i jej metod) od nauk, 2) z nadmiernej gorliwości, z jaką rozwijała się reakcja przeciwko transcendentalnej metafizyce niemieckiej z pierwszej połowy XIX-go wieku, 3) z przesadnej wiary we wszechmoc nauk przyrodniczych, wiary dziś już mocno nadwyrężonej. Ostatnio, gdy same te nauki zaczynają powracać do metafizyki, przesąd ten chroni się na teren logiki i stąd ostrzeliwuje znienawidzony „metafizyczny irracjonalizm“.

Rzecz jednak ma się wprost przeciwnie: prawdziwy racjonalizm, prawdziwe czyste, ścisłe myślenie, to właśnie metafizyka, samorodne dzieło rozumu. Nauki należą do kompetencji rozsądku, rozsądek zaś a rozum to dwie władze zupełnie różne, jako że przedmiotem pierwszego jest skończoność i fakt, zaś przedmiotem drugiego: nieskończoność i prawo.

Nie w metafizyce, lecz w doświadczeniu, w życiu realnem, w świecie danych zmysłowych, gnieździ się irracjonalizm. Świat ten jest bowiem zasadniczo bezokreślny i zyskuje sens jedynie w odniesieniu do czystego rozumu, z jego zasadą naczelną: *racji bytu*.

Mistyk czy metafizyk?

Nonsens ten **) wykorzeniono już, Bogu dzięki, w Polsce z wielu głów w ostatnich latach. Jest w tem dużo zasługi „Zetu“, oddawna bowiem piętnujemy to śmieszne mieszanie dwu pojęć wręcz sprzecznych, świadczące o skrajnem nieuctwie, albo świadomie złej woli. Jednakowoż jeszcze i dziś słyszy się raz po raz echa tego nieszczęsnego zabobonu. Pewna literatka oświadczyła, podczas dyskuji po odczycie S. I. Witkiewicza, że prelegent namawia słuchaczy do zajęcia się metafizyką, a gdy przesłała mu swego czasu powieść p. t. „Duchy w zamku“***) (o demonach i t. p.), on ją odesłał z dopiskiem: „Nudne jak cholera“. Taka straszliwa ignorancja możliwa jest tylko w naszym literackim zaścianku, toteż przytaczam fakt powyższy mimochodem. Gorzej, że prof. Zaleski, uszczęśliwiający Francuzów od lat wykładami swemi w Sorbonie, pisze w swej anegdotycznej niestety — przedmowie do francuskiego wydania zbiorowego dzieł Wrońskiego, że Wroński, podobnie jak Hegel, był „mistykiem rozumu“.

Mistycyzm jest to „poznanie“ pozarozumowe (wlew nadprzyrodzony, kontemplacja), termin „mistyk rozumu“ jest więc sprzeczny w sobie. Mistycyzm *opiera się na doświadczeniu* wewnętrznem, metafizyka natomiast jest dyscypliną absolutnie poza-doświadczalną, konstruującą swoje poznania z samych zasad i funkcyj czystego rozumu. Nie jest to łatwe do zrozumienia, dlatego też tak często ludzie, mający do czynienia z filozofją transcendentalną (nie mówiąc już o Wrońskiego filozofji absolutnej), nie wiedzą o co w niej chodzi. Ponieważ tedy dla mózgów aspekulatywnych metafizyka jest czemś bardziej jeszcze tajemniczem, niż matematyka (ze swemi liczbami niewymiernemi i „urojonemi“), więc zwą ją: wiedzą dla wtajemniczonych; poczem łatwo już pomieszać metafizykę z mistyką, choć to ogień i woda, przeciwieństwa niesprowadzalne.

Nonsens ten ma źródło i w tem także, że ludzie, którzy go wygłaszają, nie wiedzą również wcale, co to właściwie jest *mistycyzm*: zaledwie mgliście coś zasłyszeli o kabale, Swedenborgu, magji, astrologji, teozofji i t. p. Stąd czelność, z jaką stawiają Hegla czy Wrońskiego na równi z mistykami, takimi jak Boehme, Cagliostro, St. Martin i inni. Z tą samą słusznością możnaby nazwać Newtona zaklinaczem demonów, a Kopernika wróżącym z gwiazd astrologiem.

*

Wszystkie te „przesądy modne“ zdają się wznosić nieprzebytą zaporę pomiędzy myślą czystą, a tłumem szyderczych „profanów“, którzy w żaden sposób nie mogą wyzwolić się z ciasnego kręgu iluzyj, odmawiając rzeczywistości temu co naprawdę realne, a biorąc za rzeczywistość to co nią nie jest. Antynomja ta nie jest zresztą przypadkową; przeciwnie, nienawiść tłumu do filozofów ma swoje głębsze uzasadnienie. Podłożem jej jest organiczna antynomja między dwoma naczelnemi władzami naszego ja: rozsądkiem a rozumem. Rozsądek jest to rozum sparaliżowany, ubezwładniony warunkami czasu i przestrzeni. W sferze względności porusza on się doskonale, wystarczając człowiekowi do spełniania prostych, nieskomplikowanych funkcyj życiowych, służących do utrzymania się w bycie. Natomiast istota rzeczywistości jest dlań kompletnie niepoznawalna, jest on zupełnym ślepcem i ignorantem w tej wyższej dziedzinie, która poddaje się jedynie penetracji *rozumu*. Ze swego ciasnego punktu widzenia rozsądek uzurpuje sobie prawo do wyrokowania o świecie obcym dlań i niedostępnym; sądzi on, że może pomierzyć czystą myśl miarą zaczerpniętą z prymitywnego świata zmysłowych danych. Ale rozum nie pozwala się zmajoryzować, zadaniem jego bowiem jest wyjaśnić rzeczywistość bez reszty, sięgnąć aż po *absolut*. Stąd walka, ciągnąca się przez dzieje a dziś szczególnie zażarta, bo immanentyzm i materjalizm dąży wyraźnie do ostatecznego unicestwienia transcendentnych ideałów rozumu.

Infinitus est numerus stultorum — powiedział jeden z filozofów. Nieskończona jest liczba głupców. Groźna ta większość obległa dziś zewsząd obóz myśli czystej, wulgaryzując kulturę.

J. Braun.

---

*) N. b. problemat ten został w filozofji Wrońskiego definitywnie rozwiązany; nie należy to jednak do zakresu niniejszego artykułu.

**) Notoryczne mieszanie metafizyki z mistyką.

***) Czy coś w tym rodzaju. Tytułu dokładnie nie pamiętam.

Bukaty o Sakramentach

W pracy swej p. t. „Polska w apostazji i w apoteozie“, Bukaty usiłuje dać filozoficzną interpretację wewnętrznej treści Sakramentów. Ujęcie to jest oryginalne i ciekawe; w niniejszym artykuliku chciałbym z niem czytelnika zaznajomić. Niestety myśliciel nasz pisze polszczyzną tak niestrawną a częstokroć wręcz niezrozumiałą, że słowa jego będę musiał nietyle przytaczać, co raczej komentować — dokładając oczywiście wszelkich starań, by jego myśl oddać jak najwierniej. Definicje tradycyjne będę cytował podług „Katechizmu katolickiego“ kard. Gasparriego w przekładzie ks. Korzonkiewicza.

Środkami zbawienia, powiada Bukaty, są Sakramenta, które ustanowił Bóg-Człowiek, Jezus Chrystus. Stanowią one widome znaki łaski niewidomej. Za ich pośrednictwem Nieskończoność, świat transcendencji, świat zasad stwórczych, schodzi niejako w immanentny, stworzony świat Skończoności, aby go wznieść ku sobie. Dopóki stosunek człowieka do Sakramentów jest czysto bierny, póty są one dla nas znakami tylko z m y s ł o w e m i; powinnością naszą jest, przez rozumowe zgłębienie ich treści wewnętrznej, dojść ich znaczenia i ważności a b s o l u t n e j.

Tak tedy Nieskończoność budzi do życia Skończoność, wlewając się w nią. W chwili tego wlewu, potrzebuje ona, t. j. Nieskończoność, jakiegoś widomego znaku — nie dla siebie, rzecz prosta, gdyż jest ona tu stroną wyłącznie działającą, czynna, lecz dla Skończoności, będącej tutaj jakby kimś w sen pogrążonym i którego się dopiero budzi. Tym znakiem jest *Chrzest*. Chrzest, to jak gdyby punkt obudzenia naszej czynności duchowej, poznania, przez które mamy sobie stopniowo uświadomić istotę zasady zła i odgrodzić się od jej panowania.

(*Katechizm:* Sakrament Chrztu jest to Sakrament, ustanowiony od Jezusa Chrystusa przez obmywanie; człowiek ochrzczony staje się członkiem mistycznego ciała Chrystosowego, którem jest Kościół; otrzymuje odpuszczenie grzechu pierworodnego i wszystkich grzechów uczynkowych, jeżeli jakie ma, z całą karą należną za nie: i staje się zdatnym do przyjmowania innych Sakramentów.)

Powiedzieliśmy, że w Chrzcie stroną wyłącznie działającą jest świat transcendencji, Łaska, Nieskończoność; natomiast Skończoność zachowuje się w nim biernie. Otóż potrzebny jest Sakrament, przez który wirtualność Nieskończoności, działając dalej, udzielałaby swego charakteru czynnego stworzeniu, przygotowując je w ten sposób — przez ciągłe utwierdzanie— do przyjęcia samejże wirtualności. Takiem usamodzielnieniem, takim zarodkiem czynności transcendentnej w stworzeniu, jest, powiada Bukaty, *Bierzmowanie*.

(*Katechizm:* Sakrament Bierzmowania jest to Sakrament, ustanowiony przez Jezusa Chrystusa dla udzielania osobnej łaski i darów Ducha Świętego, dzięki którym bierzmowany zyskuje siłę do wyznawania wiary słowem i uczynkiem jako doskonały żołnierz Chrystusa.)

Nieskończoność czynna, przez Chrzest budząc samą siebie w Skończoności, a przez Bierzmowanie udzielając stworzeniu swego charakteru czynnego, jest w tem pośredniczeniu zarazem i elementem i celem nieskończonym, jest samą istotą wszelkiej sakramentacji, jest przenajświętszym sakramentem Ciała i Krwi Pańskiej, sakramentem żywota, *Eucharystją*.

(*Katechizm:* Eucharystja, oznaczająca mniejwięcej tyle co d o b r a ł a s k a, czyli d z i ę k c z y n i e n i e, jest najbardziej Boskim darem Zbawiciela i tajemnicą wiary; pod postaciami chleba i wina w Eucharystji jest sam Jezus Chrystus, ofiaruje się i jest ofiarą, daje Siebie na pożywanie. Jest to zarazem ofiara i Sakrament Nowego Zakonu.)

Skończoność, aczkolwiek wzniesiona już do świata transcendentnego zapomocą trzech środków — czyli trzech sakramentów — poprzednich, mimoto sama w sobie jest jeszcze podległa upadkowi. Konieczny jest zatem jakiś jeszcze bardziej bezpośredni i samorzutny związek jej z Nieskończonością, uskuteczniony przez stworzenie samo, a mający służyć do jego podźwignienia. Tym czwartym środkiem zbawienia jest Sakrament refleksyjny *Pokuty*.

(*Katechizm:* Sakrament Pokuty jest ustanowiony przez Jezusa Chrystusa dla pojednania wiernych z Bogiem, gdyby po Chrzcie popadli w grzechy.)

A więc zapomocą czterech poprzednich sakramentów, istota stworzona wzniesiona już jest — przynajmniej w zasadzie — do Nieskończoności, do świata Rozumu absolutnego i powszechnego. Aliście, gdyby nie istniał jakiś drugi element, element indywidualizujący, nie byłoby racji, dlaczego stworzenie nie miałoby się całkowicie rozpłynąć w nieskończonym żywiole Boskim. Wiemy z filozofji Wrońskiego, że tym drugim obok wiedzy elementem, składnikiem właśnie indywidualizacji, jest byt, czyli, konkretniej choć mniej ściśle mówiąc, ciało. Otóż Bukaty zaznacza, że niezbędny jest jakiś sakrament, któryby niejako zabezpieczał odrębne i indywidualne zachowanie Skończoności w żywiole Nieskończoności; takie zachowanie, byłoby to unieśmiertelnienie Ciała (oczywiście w znaczeniu elementu — bytu): i to jest *Ostatnie Olejem Świętym Namaszczenie.*

(*Katechizm:* Sakrament Ostatniego Namaszczenia jest to Sakrament, ustanowiony przez Jezusa Chrystusa, dzięki któremu dorosły człowiek chory w niebezpieczeństwie życia otrzymuje pomoc duchowną, potrzebną zwłaszcza w chwili śmierci, a częstokroć także ulgę w chorobach ciała.)

Ciało jest śmiertelne i skazitelne; czynność refleksyjna, jako przynależna rozumowi powszechnemu, jest nieskończona i nieśmiertelna. Przejście czynności refleksyjnej w skończoną skazitelność ciała stanowi jakby porękę jego nieśmiertelności już tu w świecie doczesnym, a to przez fakt, że stworzenie zostaje powołane do urzędowania, do służenia za narzędzie twórcze Ducha Świętego. Jest to Sakrament *Kapłaństwa*.

(*Katechizm:* Sakrament Kapłaństwa, czyli święceń kapłańskich, jest to Sakrament ustanowiony przez Jezusa Chrystusa nato, aby dać Kościołowi Biskupów, kapłanów i sługi, z odpowiadającemi każdemu z nich władzami i łaskami do należytego sprawowania świętych obowiązków według właściwego każdemu z nich stopnia.)

Przejście skazitelności ciała do nieskończonej dzielności twórczej Ducha jest podniesieniem się samej jego zmysłowej skończoności do wyżyn środka nieskończonego: i to jest sakrament *Małżeństwa*. — Znamienne jest, że i Kościół silnie podkreśla samorzutność tego sakramentu, orzekając, że w nim sami oblubieńcy udzielają go sobie wzajemnie.

(*Katechizm:* Sakramentem Małżeństwa jest sam związek małżeński, ważnie zawarty między osobami ochrzczonemi, do godności Sakramentu wyniesiony przez Jezusa Chrystusa dla udzielenia małżonkom łaski, żeby obowiązki, które biorą na siebie względem siebie samych i względem potomstwa, mogli spełniać należycie. — Sakramentu tego udzielają sobie sami oblubieńcy, którzy zawierają Małżeństwo.)

Rzeczą bardzo ciekawą byłoby również rozpatrzeć daną przez Wrońskiego tablicę stworzenia Sakramentów podług ogólnego Prawa Tworzenia; w niniejszym artykule nie da się to jednak zrobić, gdyż wymagałoby nader obszernych komentarzy.

Cz. Jastrzębiec-Kozłowski.

Wspomnienie o Stanisławie Lacku

Mało jest prawdopodobnem by kto w Polsce pamiętał, że b. r. przypada dwudziestopięciolecie zgonu Stanisława Lacka (1876—1909). Starania „Zetu“ o uzyskanie którego z jego niewydanych rękopisów, by jego ogłoszeniem przypomnieć tę rocznicę, spełzły na niczem. Niechże ją choć przypomni to wspomnienie o towarzyszu młodości — półgębkiem jeszcze wspominanym jako pisarz, ale jako człowiek już przeszłym w legendę.

Nawet przy długoletnich bliskich stosunkach nie znało się Lacka, podobnie jak nie znało się Wyspiańskiego. Przerastał i on otoczenie, zgóry na podobną samotność skazany a i z nim również — przy całej jego prostocie i skromności — nie było mowy o poufałości. Mało kto przytem mniej od niego mówił o swoich sprawach. Wiedziało się więc tylko, że mieszka na Stradomiu i jest synem handlarza mąką. Rodzina nie była zamożną, ale była w stanie zapewnić synowi skromne utrzymanie. To środowisko, w którem raz tylko go miałem sposobność odwiedzić a które w pierwszej dopiero generacji od chałata przechodziło do surduta, nie było bez pewnej kultury — za sprawą zdaje się starszego brata osiadłego w Ameryce, gdzie go też Lack odwiedzał. Ten stosunek ze światem anglosaksońskim odbił się na nim samym nietylko znajomością angielskiego języka, który on jeden w klasie gimnazjum Sobieskiego, gdzie z nim przez lat cztery aż do matury kolegowałem—obok języka francuskiego posiadał, ale w całem obejściu, spokoju i pozornym chłodzie. Podobnie jak w rysach i wysłowieniu się, nie było w tem obejściu nic ze semity a było tyle naturalnej dystynkcji i wdzięku, że zapominało się o kalectwie — o tych biednych, na wewnątrz powykręcanych stopach, na których się wlókł raczej niż chodził.

Widzę go jeszcze siedzącego — opodal Sinki — w ostatniej ławce tej klasy, która, jako VIIIB w r. 1896 opuścić miała gimnazjum, wówczas mieszczące się przy ulicy Podwale, w budynku Goetza. Okna klasy wychodziły na ulicę Krupniczą i na dom, w którym się urodził Stanisław Wyspiański. O istnieniu młodego malarza — wtedy właśnie po powrocie z Paryża przechodzącego najcięższy okres szamotania się z martwotą krakowską — nie wiedział żaden z trzech chłopców, w których życiu on miał tak wiele zaważyć, choć go znał dobrze inny kolega, Ordyński, o Ruchnię— jak opowiada w swych ciekawych wspomnieniach — sąsiadujący z pp. Stankiewiczami. Ale już wtedy Lack, niesłychanie oczytany, intenzywnie żył sprawami myśli i sztuki i stwarzał sobie swój świat własny, dla tych nawet, których z pośród nas zajmowały te sprawy, mało dostępny. Pamiętam jego studjum w VII-ej klasie pisane o Lemaitrze i Anatolu France p. t. „Dwie melancholje“, bo w przeciwieństwie do innych z nas, których fascynowały żółte tomiki berlińskiego wydawcy Fischera, jego wtedy głównie pociągali Francuzi. Należał do najlepszych uczniów klasy, choć przedmioty szkolne mało go interesowały i choć jego spokojnym i cichym głosem dawane odpowiedzi na nerwy działały niektórym profesorom. Laury szkolne były mu obojętne a wśród kolegów miły był wszystkim, prócz jednego może Sinki, równego mu choć zupełnie odmiennego rodzaju oczytaniem i erudycją; skąd na pauzach dyskusje i — w odpowiedzi na brutalności — uśmiech, w którym już wtedy smutku więcej było aniżeli ironji.

Swą literacką „karjerę“ zaczął na uniwersytecie, gdzie już nie wiem na jakie się wykłady zapisał ni co wogóle robił. Nie należał do pierwszego młodopolskiego cenaklu, poprzednika „Paonu“ (M. Szukiewicz, Nowaczyński, Orkan, młodo zmarły utalentowany poeta M. Krajewski, późniejszy piosenkarz i adwokat T. Zakrzewski i inni), cenaklu, który się zbierał w handlu „Pod akacją“ Leśniowskiego przy Spiskim Pałacu, a swe istnienie przedewszystkiem manifestował wynajmowaniem stałej loży w teatrze, t. zw. „dekandenckiej“. Spotykał się natomiast z ludźmi tej grupy w dwóch pokoikach, które wówczas zajmowałem nawprost teatru (w jednym z nich gnieździł się nieraz, bezdomny często, inny kolega z gimnazjum, później przez Balonik wsławiony „Stasinek“) i przez tych ludzi zetknął się z „Życiem“, gdzie jego pierwszy literami L-k podpisany artykuł — „Krytyka, bojkot, impresja“ — drukował Szczepański, ale gdzie „odkryć“ go miał dopiero Przybyszewski. Przybyszewski to — utrzymywano — wymógł na nim wtedy, że w literaturze imię „Izrael“ zmienił na „Stanisław“. I tam, w tem „Życiu“, gdzie obok przygodnych studjów jak o Karasku lub Weissie, dawał mało do innych podobne sprawozdania z książek — nastąpiło jego pierwsze zetknięcie z Wyspiańskim. Dzieliła ich różnica wieku i rozgłos już się zaczynający starszego, ale upodobniało to, że przy całem oddaniu pismu, od osoby kierownika (do którego, na moje szczęście, zupełnie się przesiedlił „Stasinek“) o ile możności się trzymali zdaleka. Znikł też Lack rychło z „Paonu“, gdzie Wyspiański zazwyczaj tylko rysował — i milczał.

Nie wiem, czy po zwinięciu „Życia“ próbował trafić do innych pism ówczesnych, gdzie oczywista miejsca dla niego nie było. Wiem tylko, ile później było trudu z narzuceniem jego współpracownictwa Feldmanowi. Feldman z ówczesnych artykułów Lacka nie rozumiał nic i trzeba było dopiero konceptu któregoś z nas, że to jest „polski Rémy de Gourmont“ — „polski Brandes“ jak ognia się lękał zarzutu, że się w czemś, co jest „modern całkiem“, nieorjentuje — by się dla niego niechętnie otwarły łamy „Krytyki“. Wydadzą się dziś te rzeczy nieprawdopodobne, ale do traktowania literatury jako interesu był ten szczególny semita równie niezdolny, jak do liczenia się z jakąkolwiek publicznością i gdyby nie istnienie w latach 1902 — 1906 „Nowego Słowa“, skromnego „społeczno - literackiego“ dwutygodnika Marji Turzymy, gdzie mógł co chciał wypisywać, bo tego i tak nikt nie czytał— najwybitniejszy obok St. Brzozowskiego krytyk polski tych czasów nie miałby się był gdzie wypowiedzieć. Pewne uznanie, jakie sobie zdobył pod koniec życia i które n. p. pozwoliło mi go zetknąć z L. Bernackim i redagowanym przez niego „Pamiętnikiem literackim“ — przyszło zapóźno. Animozja współczesnych do wyższości umysłowej Lacka—pogrzebała go dowcipem o jego „zalakowanym“ stylu.

„A ja znajduję, pisze Wyspiański do Chmiela, *że to, co on pisze, jest interesujące“* i jego stosunek z Lackiem zacieśnia się właśnie w okresie pierwszych „niezrozumiałych“ w „Nowem Słowie“ artykułów. Lack w swoich pismach ze zwykłą dyskrecją mówi o tym stosunku zaledwie dwukrotnie (epizod o odczycie o Weselu i o dwa lata conajmniej późniejsza rozmowa o Helenie z Achilleidy), ale Raptularz Wyspiańskiego nazwisko Lacka wymienia często a ci, co wtedy bywali w mieszkaniu przy ulicy Krowoderskiej, pamiętają jak mile tam był zawsze widziany. Gdy Lack na wiosnę r. 1905 wyjeżdża do Wenecji, korespondują ze sobą przez cały czas tego kilkotygodniowego pobytu, ale charakterystycznem jest, że mnie tam wtedy spotkawszy (widzę go jeszcze, jak niby z za rogu Sukiennic, nocą niespodziewanie wykusztykał z za rogu Prokuracyj) w dłuższej o Wyspiańskim rozmowie nie wspomina o tem ni słowem a otrzymane listy, o ile wiem, niszczy przed zgonem; zachował się tylko z tej korespondencji, u Żuławskiego, jeden z jego listów i powinien być ogłoszony. Nigdy Lack nie uważał się na jakiegoś *porte-parole* Wyspiańskiego ani go za takiego nie uważał autor Wesela. Ale jeśli uwzględnić, co w tych samych listach do Chmiela mówi o elukubracjach Feldmana, dla którego skądinąd wiele ma życzliwości, i jeśli uwzględnić, że o swych krytykach wogóle mawia, że oni nawet treści sztuk jego podać nie umieją — nabierają słowa o Lacku właściwego znaczenia.

Przy pełnej świadomości u Lacka — i u niego jednego już wtedy — kim jest Wyspiański, nie było w nim śladu intelektualnego serwilizmu, którego zresztą tamten nie znosił. Ten syn handlarza mąką i tamten wnuk handlarza owocami, różni pod innym względem, w równej mierze byli duchowymi arystokratami. Nie mogąc nic zrozumieć ze stosunku tych ludzi, wymyśla się plotki, dziś nawet Lackowi rolę insynuując... narzędzia judeo-masońskiej intrygi. Nadawał się do niej tak samo, jak Brzozowski do roli szpiega a judeo-masonerja grzebaniem myśli Wyspiańskiego zajmować się nie potrzebowała, skoro się tego niestety podjęto we wprost przeciwnym obozie. Stąd zbliżenie się do innej, podobnie swemu środowisku obcej jednostki, do „towarzysza nocy w Rymanowie“.

Źle jest przerastać ponad swoich,
bo czyni się wokoło głusza,
w której się, jak ten ptak zamkniony,
osamotniona zrywa dusza

— mówi Zygmunt August. Ten, który to miał napisać na krótko przed zgonem, stał już zbyt wysoko, by jeszcze w jego życiu mowa być mogła o „przyjaźni“. Ale gdy kiedyś wyjdzie na jaw, co właściwie w tych pierwszych latach bieżącego stulecia — w sercu i myśli jednego człowieka — się dokonało w Krakowie, nastąpi także przewartościowanie tych, którzy się wtedy obok niego przesunęli. I okazaćby się mogło, że dwóch tylko wśród nich było mu bliskich naprawdę: Lack i inny kaleka, na gorszą bo wśród własnego zgromadzenia skazany samotność, ks. Konstanty Czajkowski T. J.

(C. d. n.) *Adam Ł. Cybulski.*

Z literatury rosyjskiej

Genealogię rodziny Dostojewskich opracował M. V. Wołockoj i wydał p. t. „Chronika roda Dostojevskogo 1506—1933“. Autor zebrał w tej monografji dane, odnoszące się do przeszło 370 członków tej rodziny. Pierwsze zapiski dotyczące rodziny Dostojewskich znalazł autor w dokumencie z 6 października 1506 r., kiedy to Fedor Jarosławicz, książę piński, ofiarował D. Iwanowiczowi Irtyszczewiczowi wieś Dostojewo. Potomkowie Irtyszczewicza przybrali już nazwisko Dostojewskich. Genealogję „po kądzieli“ udało się autorowi doprowadzić jedynie do drugiej połowy XVII-go wieku. O ile historja przodków Dostojewskiego posiada dość duże luki, o tyle dane odnoszące się do jego potomków są zebrane w całości. Do celu tego użył Wołockoj nietylko szereg materjałów nieopublikowanych, lecz także informacje od żyjących członków rodziny. Praca—w założeniu—czysto opisowa, rozrosła się jednak w miarę relacyj źródłowych w studjum psychjatryczne i charakterologiczne i usiłuje rzucić nowe światła na osobowość twórcy, w związku z teorją dziedziczności.

Uzupełnienie pracy Weresajewa „Puszkin w życiu“, przynosi studjum pióra tegoż autora p. t. „Sputniki Puszkina“ wydane w Moskwie. Studjum to daje charakterystyki znajomych poety, jego kolegów i profesorów szkolnych, towarzyszy z kółka literackiego „Zielona lampa“, wreszcie rodziny Rajewskich, z którymi Puszkin utrzymywał nader serdeczne, przyjacielskie stosunki.

Niecenzurowany egzemplarz „Balu Maskowego“ Lermontowa znaleziono w tym czasie w Leningradzie. Egzemplarz zawiera ponad 400 wierszy nieznanego dotychczas tekstu.

Pism zebranych Tołstoja ukazał się tom 63-ci, zawierający 281 listów z lat 1880—1886. Z pośród tych listów 106 ukazuje się po raz pierwszy, m. innymi nieznane listy do Feta, Strachowa, Kawelina. Tom ten jednak nie pomieścił wszystkich listów z tego okresu. Około 400 listów do żony Tołstoja i do Czertkowa obejmie tom następny.

W 50-lecie śmierci Turgenjewa wydano w Moskwie zbiorowe dzieło rozważające szereg zagadnień związanych z życiem i twórczością pisarza. Do najciekawszych studjów w tej książce należą: Chronologiczny wykaz powstawania dzieł i pomysłów Turgenjewa, porządkujący jego twórczość nie — jak dotychczas — pod kątem widzenia wydawnictw, lecz wedle ich narastania w umyśle pisarza; dalej kronika życia i twórczości Turgenjewa opracowana przez M. K. Klemana, która ilość dat z życia poety, z 1000 podanych w r. 1910 przez Gustjara, zwiększa do 3.000.

Egzemplarze recenzyjne tomów poezyj, przeznaczone dla dwutygodnika „Zet“ prosimy kierować bezpośrednio do naszego sprawozdawcy literackiego, p. dyr. Stanisława Czernika — Ostrzeszów Wkp. — Gimnazjum.

ANTONI MADEJ

Juljusz Cezar

I.

Czy miast to pożar?
kurzawa i zgiełk bitw?
Czyj głos to niesie wichr
z pod krwawej zorzy?

— Cezarze!

II.

Chłód powietrza nawiewa cienie.
Powoli odmyka się przepaść przeszłych lat.
Z dalekich bezmiarów przestrzeni,
z zamkniętych dni kart
wola historja.

III.

Na książce Thucydydesa,
jak piorunowa kresa,
blask orła-Aresa.
Przebiega niebem po chmurze
płomienna rapsodja Ilionu,
mkną ogniem i burzą
kwadrygi i konie.

IV.

Widmowe twarze Marjusza i Sulli
z popiołów czasu połyskują trupio.
Trędowaty czar śmierci rośnie jak zły krzew
ośmiornicami czynu.
Skrwawione wawrzyny.
Krew! Krew! Krew!

V.

Wywyższyć Rzym kto może?
Kto mocen jest zwycięstwo dać?
Rozwikłać los?
W wielkości trwać?

VI.

O sławo, młodzieńczy tytanie,
dziejów Aresie,
na tarczach miedzianych
żołnierz cię niesie.

VII.

Legjony kute żelazem
maszerują gościńcami świata.
Viktorja łunami pożarów
dymi i wzlata.

VIII.

Alea iacta est! Rzucone losu kości,
wichry i burze w garść wzięte jak w cugle.
Obrażona duma wielkości
przed nikim się nie ugnie.
Ojczyzna — magiczny trójkąt ziemi —
wzywa sercem i sumieniem.

IX.

Io, triumphe! hukiem uderza w niebo krzyk!
Io, triumphe!
Przekroczony Rubikon.
Jak łuny upalne,
na łuku triumfalnym
płomienieje zwycięstwa Nike.

X.

Nowych państw
mapa rozkłada się zawiła.
Wierne przyrzeka poddaństwo
miłość.

XI.

Usta Kleopatry jak sieć
garną uległe zuchwałe męstwo,
sięgając głębiej niż miecz
w serce żołnierskie.

XII.

Jeśli snem była miłość, to sen się ziścił.
Jeśli wielkość —
Muza dziejów ci laur podała z dębowych liści,
Cezarze!

XIII.

Lecz oto rysuje się ostro
jak ból
samotność!

Ciężko na barkach ludzkich dźwigać państwa brzemię,
rządzić ludów niesforną gromadą,
koło historji do biegu napędzać
i być budowniczym ładu.
Ciężko samemu odpowiadać
duchem i sławą
za Rzymu sprawy.

XIV.

Znaki zwycięskiej władzy,
purpura i przepych,
to tylko bronz, dzwoniący pustką piersi,
nim duch weń życie wprowadzi?
Berło królewskie kto w dłoni trzyma,
jeszcze wolny od win i kar
i stopami olbrzyma
deptać może więzy praw i ludzkich miar?

XV.

Czy dłoń z obosiecznym orężem
i luków napięte cięciwy,
to moc jedyna, co zwycięża
czynem straszliwym?
Czy państwo spaja i utwierdza
tylko miecz i tylko twierdza?

XVI.

Bezsenne oczy zwodnicze gonią cienie.
Wiosna.
Ptaki, jak krople w powietrzu,
drążą się w błękitność i lazur.
Kapitolu kamień i marmur
martwo nad Rzymem się piętrzy.
Bogów zastygły ruch i gest
w posągach niemych trwa.
Płomienne zwycięstwo alegorje
powoli mitem historji
wypełniają się do dna.

XVII.

Oto dziejów cmentarze,
znaczone pomnikami głazów,
Cezarze!

XVIII.

Niepamięcią wieczności spowija czas czyny człowiecze.
Śmierć gasi życie chłodem kamienia.
Wszystko smaga i siecze
bicz przeznaczenia.

XIX.

Liście cytryn pachną, jak egipskiej nocy woń,
lecz serce kurczy się i boli,
zaciska w męce dłoń.

XX.

Moce ciemne na Kapitol prą.
Roma! Roma!
Rzeką bytu nieskończoną
fale ludów mkną.

XXI.

Na stopniach cesarskiego tronu
komuż przysiąść przyjaźnie?
Marcus?!
On miłowany najbardziej.

Ha, Marcus!

XXII

Cezarze,
ty wiesz Cezarze,
wiesz najlepiej:
szalona Muza historji uderza ślepo.

XXIII.

Roma! Roma!
Akordy dziejowe!
W świetliste kręgi wysokości
wpada imię w wydźwięku spiżowym,
jak tarcza żołnierza,
jak płomień:
Caesar.

Godzina w Beskidzie

(Listopadowe wspomnienie)

Naprzeciw ujścia rzeczki Skawicy, co wody Babiogórskich źródeł i ulew odprowadza do Skawy szumiącej szeroko, po prawym Skawy brzegu, wznosi się na jakichś trzysta ponad poziom doliny metrów i parę kilometrów w kierunku północno-wschodnim ciągnie się, tęgi i śmiały grzbiet zwany Kamienną Górą. Dołem tulą się doń wsi, Żarnówka, Jachówka na północnym, Kojszówka, Juszczyn, Wieprzec, na południowym stoku. Górą kołysze się las, wysokopienny, ciemnawy, świerki, jodły, wiązy, buki. Samym wierzchem ciągną się wątłe koleiny drogi wąskiej, z której raz po raz, poprzez światłe prostokąty stromych poręb, widok się odsłania, w jedną stronę ku Lanckoronie, ku Suchej, gdzieś ku Żywcowi, z drugiej zaś, na prawo, Babia Góra wyrasta nagle ponad wierzchoły drzew cieniem ogromnym, na lewo Podhale błękitnieje, aż po Tatry, które w dzień bezmgielny widać stąd wyraźnie, w całej rozciągłości od wschodu na zachód, jakby samotny bastjon strzelisty olbrzymów.

Tamtędy szedłem raz w drugi dzień listopada. Szedłem tą górą ku miejscu na pograniczu trzech wsi, gdzie pod bukiem rozłożystym, skąd widać bardzo daleko, stoi mały krzyż drewniany, z napisem co się już wówczas zacierał:

†
Franciszkowi Kulakowi
1914 — poległemu za ojczyznę — 1915.
— w rocznicę śmierci —
Towarzystwo.

Nie jest to grób poległego legjonisty, tylko pomnik wzniesiony mu przez młodych wieśniaków, towarzyszy jego prac i zabaw. Przypomniało mi się przy tem słowie „towarzystwo“, że kiedyś tak samo nazywali się rycerze, towarzysze jednej chorągwi...

Owego dnia znalazłem na krzyżu wieniec pamięci: cetyna, kwiaty z bibuły. Nie zapomniał ktoś w ten surowy jesienny poranek z wsi na parę kilometrów odległych, wyjść na górę stromą, by uczcić ten leśny pomnik.

I ja zdjąłem czapkę. Psu kazałem leżeć cicho. Nie lekceważę obrzędów. Żegnałem się. Szeptałem słowa pobożne.

Czułem jednak, że to tylko ruchy warg. Nie wierzyłem, aby dusza Franciszka Kulaka, żołnierza nieznajomego, poległego za ojczyznę, mogła się pożywić tą moją modlitwą....

Bo czułem, iż wogóle, pomiędzy moim dniem powszednim a wielką dobą wojny, już się był uczynił zarost gruby zapomnienia. Już ponad wszystkiem tem, co wtedy było tak żywe a tak drogie mi i w ziemię poszło — już ciężarem grubym i nieruchawym zaległa nieczułość.

Jeden już tylko żal czułem w sobie i jedną tęsknotę: żal za żalem i tęsknotę za tęsknotą.

Na wszystko człowiek powoli godzi się, na wszystko. Sam niebawem udeptywa glinę nad dołem, w którym tak niedawno jeszcze, byłby był chciał sam się położyć.

Naprzód skrycie, ale niebawem jawnie i skoro blizna się goi. I już myśl o umarłych tylko jeszcze brzęczy niekiedy, jak owad natrętny, którego się odpędza.

Raz lub dwa razy do roku wracamy nad mogiły — i stajemy wobec nich pełni zdumienia i nudy: Cóż znaczą te rzeczy?!... Cóż jest wspólnego między temi rzeczami, tem drzewem ciosanem, tym kamieniem chropawym, tą z ziemi piramidą ściętą a tem wszystkiem, co było tak prawdziwe, co było samą prawdą prawdy — a teraz jest czem?!... Mętną chmurką daleką, o której niewiadomo, czy jest naprawdę, czy się tylko oczom śni?...

Modliłem się głębokiem westchnieniem, o dar żalu, dar łez, o dar nieukoju.

I powoli ruszyły się we mnie stęgłe zarosty niepamięci. Od wielu lat po raz pierwszy uczułem, że pamiętam. Pamięcią żywą, nie ową, zastygłą przy jednem słowie, słowie imienia, za którem jest już tylko pustka, w którą myśl boi się zaglądać. Ruszyła się we mnie moja przeszłość i prawdą się stawała, w którą znów zaczynałem wierzyć, że była kiedyś; i byłem młodszy o tych lat kilkanaście, które trwały tak długo, a dziś wydają się minione jednym tchem.

I znowu wierzyłem, że oni byli kiedyś naprawdę, ze mną, koło mnie, że te oto ręce moje dotykały prawdziwie ich rąk, że te oczy moje spoglądały w ich oczy (oczy drogie, które ja tyle razy krzywdziłem myślą, że są tylko jamami haniebnemi, a później podejrzeniem, że ich nigdy nie było w mojem życiu). A przecież wyście byli naprawdę — i myśli nasze były razem, myśli młode, gorliwe, które szły na wywiady o tajemnicach życia i śmierci, o tajemnicach ciała i duszy, rozkoszy i miłości, żywiołów i Boga, grzechu i dobroci, o sprawiedliwości, która powinna być — i o Polsce, której jeszcze nie było, ale która już, krokiem dosłyszalnym zbliżała się za ścianą czasu!

I otworzyły się błogosławione spusty. Po raz pierwszy od lat wielu uczułem ukojenie błogie — żalu nieukojonego.

I znowu widziałem was — o, nie jak żywych, tego już nigdy nie będzie!... ale zbliżyła się moja wiara do was, teraz już napewno wiedziałem, że wyście wszyscy byli naprawdę tem życiem, którem my jesteśmy żywi, a nie życiem mglistem upiorów, o których nie wiadomo, czy naprawdę są, czy się tylko śnią duszy?....

Brat mój, młodszy odemnie, żołnierz odwagi wesołej, za marzenie o krzyżyku białym na wstążeczce niebiesko-czarnej zapłacił życiem. Nagroda żołnierska przyszła, ale on jej już nie oglądał. Był oficerem polskim, wzorowym. Zawsze pogrążony w mapach i książkach wojskowych. Z wygód nie lubiał korzystać, coby go oddzielały od żołnierzy, a żołnierz, co odwiózł twój płaszcz i tych kilka pamiątek nikłych, zapłakał, gdy wspomniał o ostatnich papierosach, któremi podzieliłeś się z nim. Byłeś studentem gorliwym, lubiłeś tę żywą ziemię, o której uczyłeś się. Chodziłeś dobrze i metodycznie; kopałeś piłkę; ale nigdy, ani w garnizonie, ani w polu, nie rozstawałeś się z książką; na ostatnim postoju czytałeś Emersona i o nim w liście ostatnim pisałeś. Tajnem marzeniem twojem była rzeźba (pamiętam jak już małemi palcami dziecka lepiłeś wciąż jakieś zwierzątka z chleba, któremi my rodzeństwo bawiliśmy się)... Miałeś swoje słabości, ale ze stołecznego garnizonu szedłeś na front świadomie po to, żeby się oczyścić i zahartować. Twoja nienaganna poprawność towarzyska była zasłoną walk ciężkich, które w sobie, z sobą toczyłeś. Pozornie chłodny i surowy, byłeś w rzeczy samej tkliwy jak dobra dziewczyna... czy pamiętasz tego kociego szczeniaka, który zaginął? ile razy, wróciwszy do domu, zapewniałeś: „ja widziałem, jak ludzie giną, a jabym się o kota martwił?“... Nie znałeś, co wybryki wobec ludności nieprzyjacielskiej, umiałeś wtedy i kolegom narazić się. Twoja myśl była badawcza i zniecierpliwiona złem; uchodziłeś i chciałeś uchodzić za ateistę; ale ja wiem, że w momentach głębokich wzruszeń, wbrew tobie wątpiącemu, słowo o Bogu rwało ci się na usta, poważne i szczere. Tak młody, zastanawiałeś się życzliwie nad wielkim przewrotem na wschodzie; ale już wtedy wzdrygałeś się świadomie przed każdem wyuzdaniem tłumu. Byłeś wzrostu średniego, głowę miałeś suchą, twarz śniadą i regularną, oczy i włosy ciemne; chodziłeś powoli, nieco chwiejąc się, nie spieszyłeś się nigdy. Małomówny, choć zawsze z piosenką na ustach, lubiałeś mowę żołnierską i lubiałeś zaśmiać się i lubiałeś śpiewać: wszakżeś to ty naniósł nam pieśni polskich i węgierskich, ruskich i moskiewskich... Nie miałeś jeszcze lat siedemnastu, kiedy w jeden wrześniowy wieczór odszedłeś pod ciężkim tornistrem i karabinem, a miałeś lat dwadzieścia dwa, kiedy w poranek wrześniowy nad brzegami rzeki Dźwiny, upadłeś uderzony kulą w czoło. Została po tobie szabla, płaszcz, czapka przepocona i wyszarzała, parę notatek bladym ołówkiem pisanych na biwaku, kilka książek, kilka listów, kilka pieśni, blaszka pamiątkowa z walk o miasto waleczne, krzyżyk, któregoś już nie oglądał. Narzeczona mojego brata, u samego wstępu do życia powitana śmiercią, przełamana w sobie między wiosennym rozpędem życia, a drogą pamięcią, ze straszliwą powagą szlachetnej młodości swoją jasną i uśmiechniętą pogodę owinęła czarnym blaskiem długiej żałoby. W ślady poległego idąc i ona oddała się w służbę ojczyźnie, na mazurskiej ziemi narażała się, była odważna i w pracy wyróżniona.

Byłaś skrzętna i rządna, serce twoje było czyste, czoło otwarte, oczy jasne, jak błękitna pogoda wiosenna, pamiętne. Uczyłaś się, pracowałaś i wierzyłaś. Usposobienie twoje było prostotne, dziewczęce, wesołe, ale myśl i wola dojrzałe. Minęło lat parę — i, ciebie niema. Na wiejskim cmentarzu kamień — a na nim napis sprawiedliwy: „Światło Twoje było we mnie“...

Tadeusz, kolega mój szkolny, był turystą z krwi i kości. Niski, barczysty, krępy, lniano-włosy, w wielkich okularach, okutany w jakąś nieodstępną pelerynę, przez nas, nie wiem dlaczego „bandrochem“ zwany, nawskroś uczciwy, krzepki i dobroduszny, syn Niemca i Rusinki, z dalekiego tyrolskiego pułku pisał do mnie listy o Polsce. Gdzieś razem z armją Dankla zmiotło go jakby pyłek wątły. Jest dla mnie, w swym płaszczu z kapturem, z sękatą laską w ręku, fantastyczną zjawą mej młodości: razem z tobą, pod powieką zmrużoną, widzę krakowską dolinę wesołą, bielańskie wieże białe i wyniosłe, lasy przejrzyste i łąki obfite w złotą dziewannę i słodką przytulię — krakowskiego pogórza; słyszę twój głos jowialny, jak mię budzi letnim rankiem: „no cóż, pójdziemy na wander?“... i śnią mi się dalekie szczyty, na które już nie pójdziemy: ani ty, ani ja.

Czesławie, już nikt tak otwarcie surowy nie będzie dla mnie, bo już nikt tak mi nie będzie ufał, jak ty mi ufałeś: pamiętam, jak — zawsze tego papierosa kręcąc w palcach — głosem cichym i dobrym, prawiłeś morały mej młodości lekkomyślnej. Z poza szkieł patrzyły oczy (jak podobne do oczu mego brata!) ciemne, łagodne i zamyślone; uczucia twoje były skryte, wytrwałe, namiętne; byłeś nieśmiały i poważny; czytałeś i myślałeś wiele, brałeś wszystko od strony na serjo; ale nie wzgardziłeś i szklanką — to była twoja słabostka... Lubiłeś żartować ze siebie. Prócz brata, nikt z was, przyjaciół młodości mojej, tak mnie nie osamotnił jak ty. Zbyt wiele klęsk tajnych niesie za sobą wiek męski, aby się serca mogły tak roztwierać bezwstydnie jak w młodości odurzonej nadziejami. Przy wejrzeniu i twarzy nad wiek dojrzałej (po co ta czarna dekadencko-filozoficzna broda?!) — wychowany między prostodusznemi kobietami, w zaciszu przedmieścia, miałeś w sobie coś z naiwności dziecka. W klasie mieliśmy cię za niezdarę; ale w parę lat później, w pierwszej twej potyczce wziąłeś odznakę waleczności: poprostu o tem opowiadałeś: „tamci uciekali, a ja mówiłem: nie bójmy się“... Za zaborcę zginąłeś, nie wiadomo gdzie i kiedy.

Arnold poszedł w pole, kalectwa nie bacząc. Silny, wysoki, nieco zgruba ciosany, z ręką przy uchu, jak ci co nie dosłyszą; pamiętam, jak głosem donośnym i twardym, mnie o kilka lat młodszemu, mówiłeś z żołnierską prostotą: „Jak będziesz dobry dla kobiety, to będzie chodziła za tobą jak pies“... Uczciwość twoja była szorstka i śmiała. Nie polskiej krwi, polski ochotnik, od niechcenia, niby to żartem, rubasznie, mówiłeś o samotności twojej, gorzkiej i bez wyjścia... Odchodząc, zostawiłeś dziecko, które chciałeś mieć Polakiem.

Franciszek, swoją wyniosłość ducha nosił tak lekko i skromnie, nie chcąc nic wiedzieć o sobie, że nikt, kto go nie znał, nie byłby się domyślił, ile w nim głębokiej wiary było, tchów zaiste z zaświata.

Jeszcze chłopcem będąc, mnie chłopcu, wręczał jakieś tomiska Cieszkowskiego i mówił mi o wielkiem życiu ducha, które jest wszędzie, w drzewie i w człowieku. Dojrzalszy od nas wszystkich, lśniąco czysty, opanowany i hartowny, jak stal bojowa, chętnie przebywałeś w towarzystwie chłopców prostych i hałaśliwych i lekkomyślnych. Byłeś zwięzły i suchy, jakby ze samych ścięgien i kości, nietykalny dla mrozu i głodu. Decyzje twoje były nagłe i nieugięte; żadna przygoda nie była dla ciebie zbyt ryzykowną. Niebezpieczeństwo było dla ciebie igraszką. Pomiędzy bohaterami byłeś wzorem; aleś ty o tem nie chciał wiedzieć. Poległeś jako oficer polski doskonały i nie wiadomo dziś, w której wspólnej mogile szukać twoich szczątków.

Prosty żołnierz armji zaborczej, nazwiskiem Szczotka, pastuch z pod Żywca, rysów grubych i niezdarnych, oczu wyłupiastych, bity po twarzy przez kaprali, kiedyś przysługę mi jakąś koleżeńską oddawszy, okazał delikatność i bezinteresowność prawdziwego dżentelmena. Dowiedziałem się później, żeś poległ.

Tkliwość, która się we mnie wzruszyła, ożywiła ich wszystkich. Mówiłem do nich pocichu, wesoło: Więc to prawda, że wy wszyscy byliście dobrzy chłopcy, dobrzy żołnierze, że byliście rzeczywiście i mogłem dotykać waszych ramion w mundurach i widzieć was i mówić z wami?!... Byłeś i ty, żołnierzu nieznajomy, Franciszku Kulaku, poległy za ojczyznę.

Modliłem się głębokiem westchnieniem o pamięć. Pamięć trwałą, dotkliwą, cierpką, jak włosiennica.

Wtedy jeszcze, w tym roku, w tym dniu, w tej godzinie, w tym domu, który pamiętam u stoku Kamiennej Góry, była Matka.

Chłopcze: Jeśli kiedyś w odmęcie i rozruchu, pośród wielu spojrzeń, na dnie niepowrotnem którejś chwili, (może to będzie w momencie ulicznego mijania się?), nagle i niespodziewanie zastanowisz się zdumiony, i zaczniesz głowić się i przypominać sobie, skąd znasz i pamiętasz to jedno jedyne spojrzenie, tak ufne, iż sam sobie niewinnemu jesteś przywrócony, i tak dobre, jakbyś się już odtąd nigdy nie miał martwić i lękać, wtedy wiedz: to będzie spojrzenie matki.

Patrzyłem zgóry, rękoma objąwszy kolana. Mijały błogie nieruchome czasy. Dzień listopadowy był bez słońca, ale bardzo przejrzysty. Kiedy powietrze stało bez ruchu, ciemne drewniane osiedla, widne pośród bezlistnych sadów, spały w milczeniu. Kiedy się zrywała fala wiatru, wtedy dawały o sobie znać, wonią przyczadzoną drzewnego pyłu, głuchym i wartkim tupotem jesiennej młocki, niemądrem szczekaniem psów; wtedy mój pies odpowiadał nadstawieniem uszu. Wtem cofała się nagle fala wiatru, i znagła wszystko milkło i topiło się we wielkim, cichym przestworze.

Myślałem wtedy o dziecku, które rośnie. Modliłem się głębokiem westchnieniem o duszę dziecka: Aby i o jego myśl, wyobraźnię, wolę, zaczepił się ten łańcuch pamięci — fatalnej... Myślałem, że może to jest okrucieństwo wielkie, w duszę chłopca wszczepiać jad zarazy, za który kiedyś może drogo zapłacić...

Ale wiedziałem, że to jest rzecz napewno dobra: Myśl o długu. Myśl, która rosnącego człowieka wyniesie ponad mielizny.

Cóż jest prawdziwsze dla człowieka, niż jego ciało, jego życie, jego miłości, jego nadzieje, jego ambicje, jego wesołość?!... I oddać tę prawdę najprawdziwszą, za sny, upiory, majaki, za myśli o przyszłem szczęściu nieznanych pokoleń, albo za myśli szaleńcze o Duchu, którego nikt nie zmaca i nikt nie widział?!...

Ale wiedziałem, że jeśli jest Bóg, to właśnie znakiem, jaki On nam daje, jest to, iż bywają duchy, które nawet za donicę nektaru nie chcą sprzedać przeznaczeń swoich, niesamowitych, niepojętych: Długiem wzajemnej ofiary obcować przeznaczone w świętem kolisku, splatać się, zrastać i zespalać w jedną Rzeczywistość, już nie rozdartą na widzialne „moje“ i „twoje“, w jedno Ciało Ducha, już nie poszarpane.

Myślałem, że jeśli Dobry Bóg, który Frasobliwy, lubi siadywać po polskich rozdrożach, stopą swoją dotyka ziemi, to dookoła, wiankiem milczącym, przyległy do niej te głowy uśpione, co kiedyś tak hojnie ponabijały się na rozpięte w przestrzeni pustych pól kabłąki stalowe pocisków: Oczyszczeni.

Myślałem, że jeśli ma być i powinien być Bóg, to chyba tylko po łańcuchu żywym, uplecionym z żywotów hojnie podarowanych, można piąć się ku granicy niewidzialnej, ku Niemu. Wszystko inne rwie się. Któraż prawda bardziej obowiązująca, któraż bardziej ważka, rzeczywistsza, niźli prawda życia ludzkiego, rzuconego na śmierć albo wyrzeczenie się?... Wszystko inne może być czczym wiatrem słowa. Ale oni wszyscy, którzy odkupiali nas swoim trudem i ofiarowaniem się i długą może męką nocy przed ostatecznym wyborem — ONI byli naprawdę. Jeśliby wszystko miało być niepewne, to to jest pewne. W łonie tej pewności wywiązują się tamte nadzieje.

Szedłem na tę Górę Kamienną pełen w sobie swaru, rozproszenia i uraz. Teraz czułem jak słodkie przebaczenia miłości, z krwi mojej strąciły jad i truciznę. Czułem się w sobie czysty. Ogieniek gromnicy zadusznej, która w to południe blade i ciche rozgorzała we mnie, blaski swe rzucił także na żywych. Zrozumiałem wtedy: Łzy i pamięć żywa potrzebne są do obrzędu. Ażeby modlitwa zaduszna nie była modlitwą samych warg; ażebyśmy zaznali oczyszczenia.

Ale któż wie, jakie źdźbła kiełkują po tamtej stronie ze ziarn złożonych tutaj, w naszem ziemskiem podglebiu?.. Cóż duch zostawia sobie na nowe życie, co opada zeń, jak łupina niepotrzebna?... Jaka zostaje treść życia najwłaściwsza? Któż wie to wszystko?... Czyliż tylko do łez naszych, jak do miski z krwią bydlęcą, cienie się głodne mają zlatywać?...

Ponad osadem niewiary w rzeczywistość minioną i obecną życia, które odpłynęło, ponad wysychaniem łez, ponad przymogilnem oschłem zdumieniem, ponad bezwstydnem wyuzdaniem stypy, obcujmy obcowaniem świętem: Testamentem dobrego dzieła stemplowanym w szpiku kości. Pulsem krwi, najgłębszym, najbardziej tajemnym, najstalszym, najrówniejszym. Triumfalnym zdrojem dobroci tryskającym z serc pochylonych nad datami zniszczenia.

Oczy nasze, gdy wrócimy z zaduszek, niech będą osuszone i wesołe, a mowa mową ludzką, dnia nie nocy: Oni byli żywi i dobrzy. Niech się przeto nie stają nam zmorami dusznych nocy.

Modliłem się do Boga głębokiem westchnieniem: O pożywność tej godziny. Dla mnie, dla wszystkich żywych, dla wszystkich odeszłych. O pożywność tajną, o sploty żywe, o nieukoje tętniące popod skorupą zmarzłą niepamięci odwierzchniej. Niechaj tak będzie.

Cóżby inaczej warte było słowo żalu, które chce się oderwać od żalu, najpierw utuczyć się żalem, a potem samo nieść się w świat, samo, jakgdyby żalu nigdy nie było?!...

Bez nadziei owej, ileż w nas rozprószy się?...

O dobrzy moi, stójcie nademną wszyscy, jeśliście wybawieni od śmierci!... Jeśli wam wolno wspierajcie duszę, w niemoc uwikłaną!... Niechaj tak będzie.

Podniosłem się z mchów rudych, uwiędłych. Zerwał się także pies, z radością psią, zawsze człowiekowi wdzięczną.

Schodziłem po stoku. Doniosły się do mnie dymy wsi. Wracałem w powietrze dnia powszedniego. Czułem już, jak znowu zasklepiają się we mnie zarosty zapomnienia. Mijała godzina żywa. Głębokim oddechem łowiłem wibracje jej odlotu.

Adam Bryzga.

U podstaw matematyki i logiki

Platon, być może pod wpływem nauki Pytagorasa, na drzwiach swego domu umieścił napis: Nie znający geometrji niech nie przekracza mego progu (Medejs ageometretos ejzito mu ten stegen); cześć w nim budziła matematyka nie tylko jako wzór żywej logiki, ścisłej w rozumowaniu, lecz i dlatego, że Bóg — to wielki geometra (Aej ho theos geometrej) i że wiedza rzeczy wieczystych z natury swej jest matematyczna (Tu gar aej ontos he geometryke gnozis estin). — Moc dowodową matematyki uznawano niezaprzeczalnie w ciągu tysiącleci, chociaż samo źródło tej mocy pozostawało tajemniczem do czasów Kanta, który swą nauką o transcendentalności czasu i przestrzeni wskazał ludzkiemu poznaniu nowy punkt wyjścia. Nauka Kanta o czasie i przestrzeni doprowadziła Hoene-Wrońskiego, w związku z odkrytem przez niego Prawem Stworzenia, do założenia filozofji matematyki. W r. 1811 ogłosił H.-Wr. swe dzieło: „Introduction à la Philosophie des Mathématiques et Technie de l'Algorithmie", dzieło, należące do najciekawszych tworów ducha ludzkiego: matematyk ujrzy tu poraz pierwszy matematykę, albo ściślej algorytmję, jako organiczną całość: filozof, doszukujący się tak drogiej dla rozumu jedni i znalazłszy ją w organicznem zespoleniu rozmaitych gałęzi nauki matematycznej, postara się wykryć ogólne prawo i, jeżeli mu się to powiedzie, posiądzie Prawo Stworzenia.

Jeżeli przedstawiona Instytutowi Francuskiemu w r. 1810 rozprawa H.-Wr. p. t. „Premier principe des méthodes algorithmiques" znalazła pochlebną ocenę u wielkiego Lagrange'a, który przyznał, że H.-Wr. „wyprowadza ze swego wzoru wszystkie, jakie znano dotychczas na rozwijanie funkcyj a jakie są tylko poszczególnemi wypadkami jego wzoru", jeżeli niektóre inne wzory znalazły uznanie i weszły do podręczników matematycznych (powszechnie jest znany wzór wyznaczników pod nazwą wrońskianów), to genjalny „Wstęp do Filozofji Matematyki" prawie był nieznany we Francji; do zrozumienia i oceny tego działu niezbędnem jest przygotowanie filozoficzne i matematyczne, a wiadomo, jak rzadko zdolności spekulatywne, matematyczne i filozoficzne, idą w parze, zwłaszcza u Francuzów. Niemców znowuż, znajdujących się pod wpływem dokonanego u nich przewrotu filozoficznego, mało pociągały francuskie twory filozoficzne. Wszelako kultura filozoficzna Niemców bardziej sprzyjała zrozumieniu doktryny H.-Wr. Toteż filozofja matematyki H.-Wr. zwróciła uwagę niemieckiego filozofa z matematycznem wykształceniem K. Ch. Fr. Krausego, który w dziele p. t. „Vorlesungen über das System der Philosophie", 1828, i w rozprawie p. t. „Ueber die Idee der Mathesis, über die organische Ausbildung und über das Verhältnis der Mathesis zu der Wissenschaft und zu dem Leben" zaznacza oryginalność i głębokość poglądów H.-Wr. Prof. uniwersytetu w Heidelbergu F. Schweins w pracy p. t. „Theorie der Differenzen und Differentiale", 1825, podaje wiele wzorów H.-Wr. i wysoko go ceni. Prof. H. Burkhardt w obszernym traktacie o rozwijaniu funkcyj („Entwicklungen nach oscillierenden Funktionen") wykłada prawo najwyższe H.-Wr. M. Simon ze Strassburga w „Jahresbericht der deutschen Mathematiker Vereinigung", 1906 (Der Ergänzungsbände I Bd.) przypomina prace H.-Wr. z zakresu filozofji matematyki, zachęca Niemców do poznania tych prac i wskazuje na pokrewieństwo poglądów naszego filozofa i niemieckiego matematyka Schefflera, autora prac: „Die Theorie der Anschauung oder die mathematische Gesetze", 1876, i „Die Grundlagen der Wissenschaft", 1889.

W Rosji obszerne streszczenie filozofji matematyki H.-Wr. podał W. Bobynin w pracy swej: „Filosofjia matiematiki po uczenju Goene-Wronskago", 1894, przyczem autor nazwał H.-Wr. „najwybitniejszym, a nawet jedynym przedstawicielem filozofji matematyki".

W Polsce sprawa filozofji matematyki H.-Wr. stoi najgorzej: w roku 1925 złożyliśmy w Kasie im. Mianowskiego polski przekład z komentarzami i przypisami „Wstępu do Filozofji Matematyki", — rękopis ten w głębokim spokoju spoczywa w szafie Instytutu popierania nauki polskiej. — Jedyną nadzieję na wydobycie tej pracy na światło dzienne pokładamy w hojności jakiegoś światłego mecenasa.

We Francji, po stu latach zapomnienia, powoli odbywa się rehabilitacja H.-Wr. Przed kilku laty firma J. Hermann wydała w 4 tomach dzieła matematyczne H.-Wr.; od trzydziestu lat niestrudzenie pracuje nad filozofją H.-Wr. Francis Warrain, którego energji, uczoności i twórczości, owianej prawdziwym erosem filozoficznym, zawdzięczamy szereg prac, jako to (wymieniamy ważniejsze): La Synthèse concrète (1906), L'Espace (1907), Conception psychophysique de la Gamme (1921), L'Armature metaphysique, établie d'après la Loi de Création de H.-Wr. (1925) (praca ta wyszła w polskim przekładzie p. t. „Wiązanie metafizyczne, sporządzone według Prawa Stworzenia H.-Wr.", nakł. Arcta), „Quantité, Infini, Continu (1928), La Matière, l'Energie (1930), L'Oeuvre philosophique de H.-Wr. (w r. 1933 wyszedł t. I, ma ukazać się jeszcze 7 tomów). Do prac tych przybyła świeżo rozprawa o algorytmach pierwotnych*). Nie sposób w ograniczonym z natury rzeczy sprawozdawczym artykule streścić, ku całkowitemu zadowoleniu czytelnika, to dzieło: tak bogata jest jego treść, a tak skondensowany wykład. Interesującym się filozofją matematyki polecamy je w dwóch słowach: Tolle et lege, a w referacie tym ograniczymy się do podania głównych wytycznych.

Idąc za Kantem, H.-Wr. z podziału władz umysłowych na rozsądek, władzę sądzenia i rozum w taki sposób wyprowadza 3 algorytmy pierwotne: rozsądek, jako władza nadawania zjawiskom jedności zapomocą prawideł, wychodząc z danych zmysłowych, z istoty swej indywidualnych, dokonywa ich połączenia i wyodrębnienia w sposób nieciągły, — stąd algorytm sumowania (dodawanie i odejmowanie); rozum, jako władza zasad naczelnych, zmierzająca ku wyższej i absolutnej jedni naszej wiedzy, usiłuje zbiory skończone związać z możliwą całością nieskończoną, a to zapomocą ciągłości, — stąd algorytm stopniowania (potęgowanie i pierwiastkowanie); władza sądzenia, jako podporządkowująca szczególne ogólnemu i wywierająca wpływ kierowniczy rozumu na rozsądek, neutralizuje nieciągłość i ciągłość, — stąd algorytm odtwarzania (mnożenie i dzielenie). Pomiędzy temi trzema algorytmami pierwotnemi a trzema elementami pierwotnemi każdego systematu rzeczywistości zachodzi taka odpowiedniość: sumowanie — element-byt, stopniowanie — element-wiedza, odtwarzanie — element podstawowy albo neutralny. Warrain rozważa te algorytmy pierwotne na całym rozległym obszarze nowoczesnej matematyki, by wykazać, że algorytmy te, zaczerpnięte z arytmetyki i rozszerzone na całą matematykę, gdzie pozornie zatraciły, ze względu na odmienne warunki stosowania, swe pierwotne znaczenie, zatrzymując tylko dawne nazwy, zachowały niemniej podstawę stopniowego uogólniania algorytmów pierwotnych, przyczem autor zachowuje zasadniczy punkt widzenia, przyjmowany w jego poprzednich pracach, mianowicie stosunku indywidualności do powszechności.

Sumowanie. — Dodawanie jest to takie łączenie przedmiotów lub wielkości, które ogranicza się do wyłączania (rzeczywistego, bądź idealnego) wszystkiego, co je oddziela. Dodawanie, jak łatwo się rozumie, jest działaniem przemiennem i łącznościowem. Błędem byłoby mniemać, że u podstawy dodawania założone jest konstruowanie liczb całkowitych za pośrednictwem powtarzania jedności; idea takiej konstrukcji przynależy mnożeniu. Dodawanie opiera się na trybie generacji nieciągłej, albowiem tylko łączy przedmioty dane oddzielnie, tak że każdy element pozostaje odrębnym i niezmienionym w rezultacie, który jest agregatem.

Odejmowanie można rozważać albo jako wynik porównania dwu wielkości pod względem ich zakresu, albo jako działanie przeciwstawne dodawaniu; w tym ostatnim wypadku znak — (minus) ukazuje się w wyniku potrącania sumy z jednej z dwu części składowych; tym sposobem nie zachodzi potrzeba innej, umownej definicji liczb ujemnych i znaki + (plus), — (minus) oznaczają przeciwstawność działań (dołączania, potrącania); przenosząc te znaki na ilość, sprowadzamy dodawanie i odejmowanie do algorytmu sumowania, w którego łonie dwa te działania przedstawiają dwa procesy przeciwne.

Odtwarzanie. — Już sam wyraz „mnożenie" jest synonimem odtwarzania (reprodukcji). Działanie to wyraża się w powtarzaniu pewnej liczby (mnożnej) przez inną (mnożnik) i wykazuje wręcz różna rolę dwu czynników: mnożną, jako substratum powtórzenia, może stanowić wszelki przedmiot, nadający się do powtarzania, i dlatego mnożną cechuje jej zawartość albo treść; mnożnik występuje jako czynnik, regulujący zakres typu, przedstawionego przez mnożną. Stosunek indywidualności do powszechności jest cechą istotną mnożenia. Wobec tego, że dwa czynniki mnożenia spełniają funkcje wręcz różnorodne, działanie to w zasadzie nie jest ani przejściowem, ani przemiennem, ani łącznościowem, i właściwości te nabywa tylko przygodnie. Mnożenie ilości nieciągłych można rozważać z innego punktu widzenia, wskazanego przez Cantora: jeżeli A i B są dwiema mnogościami elementów i każdy element A złączymy z każdym elementem B, wówczas liczba połączeń albo par będzie iloczynem liczb, odpowiadających A i B; takie mnożenie z istoty swej jest przemienne i łącznościowe, i cechuje je, jak i poprzednio omówione, stosunek indywidualności do powszechności. — Dwa te punkty widzenia dają się uzgodnić, jeżeli zważy się, z jednej strony, że iloczyn jest złożony, zaś czynniki są składowemi i, z drugiej strony, że różnorodność funkcyj składników zachodzi zawsze. Mnożenie jest z istoty swej względem dodawania rozdzielczem; rozdzielność wynika ze stosunku podstawowego indywidualności do powszechności, jako że ono łączy indywidualne ze zbiorowem i, gdy przynajmniej jeden z czynników jest ciągły, stosunek indywidualności do powszechności iści się w zupełności.

Dzielenie ma za przedmiot porównanie całości z typem elementów, i porównanie to streszcza się w pojęciu miary. — Dzielenie jest równoważne z ponawianem odejmowaniem jednej i tej samej ilości od drugiej, lecz błędem byłoby stąd wnioskować, że dzielenie wywodzi się z odejmowania, albowiem przy dzieleniu nie chodzi o wynik odejmowania, lecz o iloraz. Dzielenie można uważać za działanie odwrotne mnożeniu.

Algorytm odtwarzania odsłania najlepiej swe cechy w równaniach wymiarowych fizyki, gdzie abstrahuje się od wartości ilościowej pewnej mierzalnej jakości fizycznej, by rozważać jedynie jakości elementarne, na które ona daje się rozłożyć. Otóż, trzy jednostki podstawowe (dwie ekstensywne: długość i czas oraz jedna intensywna: masa) występują tu w różnych potęgach i są między sobą związane mnożeniem lub dzieleniem. Lecz sama masa daje się rozłożyć na czas i przestrzeń, tak że $M = L^3 T^{-2}$; Warrain, przypisując Jupont'owi i Ch. Henry'emu zasługę takiego rozkładu, popełnia nieścisłość historyczną, bowiem wzór ten 1) wynika z zestawienia dobrze znanych wzorów fizyki: $f = \frac{m_1 \cdot m_2}{r^2}$ i $f = m\,g$, 2) bezpośrednio został wyprowadzony przez H.-Wr. w jego mechanice niebios w postaci $w = \sqrt{\frac{m}{p}}$ (gdzie w — prędkość, m — masa, p — parametr linjowy).

Zatrzymamy się na chwilę na prawidle znaków przy mnożeniu. Przytaczane dowody, oparte na odejmowaniu algebraicznem (np. Bertrand, Comberouse) lub na pojęciu symetrji (Houel), są raczej sprawdzeniami prawidła, niż właściwemi dowodami. Autor podaje prostą, ciekawą i ważną interpretację znaków + i — i z niej wywodzi prawidło znaków iloczynu. Jeżeli zważy się, że prawidło znaków przy mnożeniu wyznacza znakom + i — różne role, czem przypisuje każdemu z nich właściwą mu naturę, nie można prawidła znaków przyjmować za dowolną umowę, znaczyłoby to bowiem popaść w sprzeczność. Ujemność rozwija się inaczej niż dodatniość, mianowicie, unicestwiając to, co było dokonane; powtórna negacja unicestwia to, co uczyniła pierwsza; przeto, mnożyć — przez + jest to potwierdzać działanie poprzednie, t. zn. negację, mnożyć zaś + przez — jest to odczyniać to, co było założone.

Jako podstawę algorytmji, głębszą od działania odtwarzania, próbowano dać ideę odpowiedniości dwóch mnogości, do której to idei chciano sprowadzić pojęcie funkcji, rozumianej w największej ogólności. Otóż, odpowiedniość obopólnie-jednoznaczna prowadzi do homografji, ta zaś sprowadza się do odwrócenia, które ma jako niezmiennik stały iloczyn odpowiednich elementów, tak że dedukcja ta prowadzi ostatecznie do szematu odtworzenia i potwierdza charakter podstawowy tego algorytmu.

(C. d. n.) *P. Chomicz.*

*) Essai sur les Principes des Algorithmes Primitifs. (Institut Général Psychologique. — Commission Internationale de Détermination Mathématique des Phénomènes Psycho - et Socio - Biologiques), 1934. Librairie Scientifique Hermann, 6, rue de la Sorbonne, Paris V. — Str. 151.

Philosophica

Czy wznowienie „Kwartalnika Filozoficznego"? Swego czasu podaliśmy w „Zecie" smutną wiadomość o zamknięciu „Kwartalnika Filozoficznego" z powodu braku funduszów na kontynuację tego cennego wydawnictwa. Obecnie dowiadujemy się, że Akademja Umiejętności postanowiła je wznowić, co niewątpliwie będzie powitane z radością przez tych, którym sprawa kultury filozoficznej w Polsce nie jest obojętna. Podobno jest nadzieja, że prenumeratorowie „Kwartalnika Filozoficznego" otrzymają niebawem wszystkie zeszyty za rok bieżący, choć oczywiście z niedającem się uniknąć opóźnieniem. W ten sposób poważna ta placówka zostanie utrzymana i będzie pełnić dalej swe pożyteczne funkcje.

„Przyczynki do historji hegelianizmu w Rosji" wydał Borys Jakowenko w Pradze (J. Bartl). Pracę zadedykował VIII-mu Międzynarodowemu Kongresowi Filozoficznemu w Pradze. Materjały są zebrane chronologicznie i przeważnie w obszernych cytatach. Początek wpływów Hegla na myśl rosyjską datuje się z pierwszego 30-lecia XIX-go wieku. Rok 1837 staje się zwrotnym punktem dla znajomości Hegla — dzięki moskiewskim prelekcjom Nowickiego i studjom Bakunina. Studjum Jakowenki kończy się na hegliźmie Hercena. Dalszego opisu rozwoju heglizmu w Rosji praca ta nie daje. Studjum niniejsze — dzięki obszernym cytatom z pism rosyjskich heglistów, uzupełnia pracę prof. Czyżewskiego umieszczoną w zbiorowem studjum wydanem w Pradze p. t. „Hegel bei Slaven"

Jako pogłosy kongresu filozofów w Pradze, ukazały się następujące prace odnoszące się do historji filozofji w Czechach: Józefa Krála „La philosophie en Tchécoslovaquie. Aperçu historique", Borysa Jakowenki „La philosophie Tchécoslovaque contemporaine" i O. Charváta „J. Kratochvil e la neoscolastica in Cecoslovacchia".

Interesującą monografję o zoroastrjaniźmie wydał prof. John W. Waterhouse, zajmujący się filozofją religij. Praca niniejsza jest raczej studjum analitycznem nauki Zoroastra, lecz posiada dużą wartość dzięki obfitej bibliografji. Tytuł „Zoroastrianism" —nakład „Great Religions of the East" — Londyn.

Drugie wydanie „Etyki" prof. Witolda Rubczyńskiego (przerobione) już wkrótce ukaże się w druku; zawierać będzie m. in. obszerną krytykę determinizmu i relatywizmu.

Hinduską koncepcją bóstwa zajmuje się w swej pracy (wydanej w języku angielskim p. t. „The Hindu Conception of the Deity" — Luzac et Co — Londyn) uczony hinduski Bharatan Kumarappa. W studjum tem rozważa autor zagadnienie absolutu w filozofji hinduskiej starożytnej i jego interpretacje współczesne. W przedmowie zwalcza fałszywy stosunek myśli europejskiej do filozofji hinduskiej.

Zagadnieniem wolności w filozofji współczesnej zajął się w obszernej pracy, zatytułowanej „La libertà umana nella filosofia contemporanea"—V. Cavallo (F. Perella—Neapol). Oto tytuły niektórych rozdziałów: Doktryna Boutroux i jej znaczenie. Doktryna Bergsona. Doktryna Crocego i Gentile'go. Postęp neoheglizmu we Włoszech. Doktryna Marinettiego. Ja indywidualne i Ja absolutne. Autonomja indywidualna, powszechność ducha a egzystencja Boga. Ja i realność powszechności. Wola. Przyczynowość i wolność. Spontaniczność. Wolność człowieka. Wolność umysłów wybranych. Znaczenie wolności.

Obszerne studjum o doktrynie św. Augustyna wydał w języku włoskim X. Marianus de Lama. (Tytuł: S. Augusti doctrina de Gratia. — Ed. E. Marietti — Turyn).

Polityka i historja

Wojenne wspomnienia Lloyda George'a ukazały się w przekładzie na język niemiecki, nakładem S. Fischera w Berlinie. Ostatnio opuścił prasę tom trzeci i czwarty.

Zagadnienie Eurazji stało się pobudką do wydania kilku ciekawych prac. Po wydanej w języku czeskim Geografji Eurazji, pióra P. Sawickiego, uczonego rosyjskiego, usiłującego udowodnić, że istnieje geograficzny związek eurazyjskich ziem, podjął to samo zagadnienie na terenie historji G. Wednackij i wydał w Berlinie pracę p. t. „Opyt istorii Ewrazii". Autor nie przeczy, że sam problem Eurazji budzi duże sprzeciwy, że wiele znajduje się kontrargumentów przeciw historyczno - geograficznemu związkowi Europy wschodniej i północnej Azji. Zbiera jednak wszystkie dane, które na jedność tych ziem wskazują i na tem tle buduje swój historyczny schemat. Interesującą koncepcją jest wykazanie perjodyczności historji Eurazji — przyczem pierwszy perjod zaczyna się w szóstym wieku, ósmy zaś, ostatni z dotychczasowych jest to „Eurazja sowiecka". Studjum G. Wednackiego wskutek swej szczupłości (niepełne 200 stron) nie jest w stanie wyczerpać nawet pobieżnie zagadnienia. Autor stawia raczej pewne tezy, które powinny wywołać żywą dyskusję zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie europejskim i przyczynić się tem samem do pełnego oświetlenia tego wybitnie interesującego problemu.

Europeizacja Wschodu — oto zagadnienie, którego opracowaniem zajął się H. Kohn, autor szeregu prac z tej dziedziny, jak np. „Geschichte der nationalen Bewegung im Orient" i „Nationalismus und Imperialismus im Vorderen Orient". Ostatnia praca („Die Europäisierung des Orients"-Schocken-Vlg. Berlin) zajmuje się systematycznem przedstawieniem historycznego, kulturalnego i gospodarczego rozwoju krajów lewantyńskich.

Leon Daudet wydał ostrą książkę p. t. „La police politique. Ses moyens et ses crimes"— zawierającą szereg ataków przeciw obecnym rządom we Francji, głównie zaś przeciw francuskiej policji, w związku z aferą Stawiskiego.

Praca o Nowej Arabji, pióra prof. Uniwersytetu w Pradze A. Musila, ukazała się w języku czeskim. Autor wydawał dotychczasowe swe prace o Wschodzie nakładem Amerykańskiego Towarzystwa Geograficznego (tytuł: Oriental Explorations and Studies).

Piękną biografję Garibaldiego ogłosił Paweł Frischauer (Zurich). Autor umiejętnie wydobył najgłębsze rysy psychiki włoskiego bohatera i umiał należycie oświetlić linję rozwojową tego życia pełnego bohaterskich przygód.

Krótką historję Egiptu od pierwszej dynastji do czasów Kleopatry opracował Arthur Weigall. Tytuł: „A Short History of Ancient Egypt" (Chapman and Hall, Londyn). Naturalnie książka ta nie ma pretensyj do dania pełnego obrazu dziejów kraju pod rządami przeszło 300 faraonów. Jest ona natomiast doskonałym dla laika—dzięki umiejętnej syntezie — podręcznikiem do poznania dziejów tej tak obcej nam cywilizacji.

Roosevelta nowa książka ukazała się w przekładzie na język francuski. Tytuł: „Sur la Bonne Voie". Przełożył Piotr Dutray (Nakł. Denoel et Steele — Paryż).

Australja na tle kryzysu światowego tworzy specjalnie interesujący dla studjów ekonomiczno - socjologicznych, objekt. Posiadając duże bogactwa naturalne, niewielkie zaludnienie przy ogromnych niewyzyskanych obszarach, mając oparcie w walucie imperjum brytyjskiego, uległa mimo to — pierwsza w świecie cywilizowanym — tak silnemu naporowi kryzysu, że zmuszona była ogłosić bankructwo. Specyficzne warunki ekonomiczne, nasilenie i przebieg kryzysu dają się na australijskim przykładzie — studjować i pozwalają, łatwiej niż w pełnej niezwykłych komplikacyj sytuacyjnych Europie, wyciągać pewne ogólne wnioski. O takie wnioski pokusił się E. Ronald Walker, wydając pracę p. t. „Australia in the World Depression" (P. S. King — Londyn).

Pamiętniki jeńca wojennego, który dostał się do niewoli rosyjskiej, jego losy, wędrówki, wreszcie ucieczkę, wydano w Grazu. Autorem jest Robert Bertold. Tytuł: „Von Front zu Front. 24.000 km.".

Trzytomową pracę o Rzymie antycznym zaczął wydawać P. Gusman (B. Arthaud — Grenoble), autor wydanych już interesujących prac o Pompeji, Tivoli i rzymskiej sztuce dekoracyjnej. Książka ma tytuł „La Rome Antique" i jest pierwszym tomem z zamierzonej edycji. Luksusowe to wydawnictwo zdobi 260 miedziorytów i 3 plany.

Rozważania p. t. „Rousseau i państwo współczesne" ogłosił Alfred Cobban w Londynie (Allen and Unwin).

Do czego Francja zmierza? — oto pytanie, na które usiłuje odpowiedzieć w swej książce profesor socjologji na uniwersytecie w Clermont - Ferrand, Emile Lasbax. („La France ira-t-elle à un Troisième Empire?" — Ed. Excelsior — Paryż). Autor zdaje sobie sprawę z tego, że przemiany wewnętrzne jakie przechodzi obecnie psychika francuska, muszą doprowadzić do zmiany struktury politycznej. Jak daleko jednak sięgną te przemiany — tego autor przewidzieć nie potrafi.

Bój o Norwida

Powiedział jeden z polskich filozofów, że tłum nagradza przeciętne talenty popularnością, złotem i sławą, dla wielkich ma podziw, a dla największych... nic. To lakoniczne „nic" było przez całe życie udziałem Norwida. „Patrzę... i Nic" — tak oto ironizuje Wyspiański głębokie przeżycie krytyka - profana, stojącego przed wystawą genjalnych płócien. Jeśli ta analiza psychologji tłumu jest trafną, to grubo się omylił prof. Pini, twierdząc, że prawdziwa sztuka musi być lekkostrawna.

Jakim bywa w istocie los tych największych, reweluje nam z bolesną naocznością los Norwida. Niezrozumienie ściga go jeszcze po śmierci, i jeśli wypełniło się w części jego proroctwo: „Syn minie pismo, lecz ty spomnisz wnuku", to tylko w odniesieniu do garstki poetów i myślicieli, a więc tych, którzy — samą dynamiką twórczą swego „ja" — wyprzedzają epokę.

Temniejmniej przeżywamy dziś renesans tego poety, i jakkolwiek renesans ten podobniejszy jest do tragikomedji, niż do apoteozy, dzieło norwidowe uwięzgło już w samym rdzeniu polskiego życia duchowego i nie wydrą go stamtąd nawet najgorliwsze wysiłki „odbronzowiaczy".

Jest rzeczą notorycznie znaną z historji, że wielkość nie zwycięża bez walki. Tylko karzełki są szczęściarzami, którym pieniądze i sława pchają się same do ręki, wieńcząc ich i delektując już za życia. Twórcy naznaczeni piętnem genjuszu są nadludzko cierpliwi, ale i nadludzko nieustępliwi. Postokroć odtrąceni, powrócą po raz setny pierwszy, przypomniani przez proroczo przez nich przewidziane wypadki, odtajemniczeni przez ducha nowych czasów, przyniesieni na fali legendy, w ogniu walki, w rozjątrzeniu polemik.

Bój o Norwida wszedł teraz w nową fazę. Najpierw walczył o niego tylko czas, bieg historji, ze swoją wymowną choć milczącą argumentacją. Potem pojawili się heroldowie, otrębujący wskrzeszoną chwałę zmarłego w paryskim przytułku, sami naprzeciw apatji lub snobistycznego aplauzu społeczeństwa, które powtarzało półgębkiem ich opinje, udając, że czyta i że rozumie. Wreszcie okrzyknęła poetę swoim mistrzem młoda, idąca sztuka. Akcja „Zetu" przyparła do muru opieszałego Miriama, domagając się rychłego ukończenia wydawnictwa pism zebranych, podjętego przed dwudziestu z górą laty. Rozbudzone w ten sposób zainteresowanie skłoniło prof. Piniego do prędkiego wypuszczenia na rynek zbiorowego wydania; równocześnie jednak, w przedmowie do tej oddawna wyczekiwanej edycji, prof. Pini zdeklarował się otwarcie jako pomniejszyciel, a nawet — powiedzmy to wyraźnie — przeciwnik autora „Kleopatry". Od tej chwili walka zaostrzyła się, jak zwykle gdy dwie sprzeczne, skrajne opinje pojawiają się na placu. Napewno się nie pomylę, gdy powiem, że bój o Norwida teraz dopiero rozgorzeje w całej pełni. Sam już proces wytoczony Piniemu przez Miriama stwarza tyle momentów drażniących, że rzecz poruszy napewno namiętności i wątroby, mózgi i serca. Cóż dopiero profesorska przedmowa, która wkroczyła w świat przesubtelnych kreacyj norwidowego genjuszu, jak słoń do składu porcelany! Gdybyż prof. Pini, w swym niepohamowanym krytycyzmie, przejawił był w swoich zarzutach ten umiar, który cechować winien poszukiwaczy prawdy, gdybyż był dowiódł samym sobą, że „dla tych, którzy ślubowali służyć nauce, niema większego nad Prawdę bóstwa" (jego własne słowa, wypowiedziane w obronie swej przedmowy). Niestety ton przedmowy zdradza: 1) wyraźną awersję do najrdzenniejszych cech osobowości poety, 2) złośliwą chęć dokuczenia Miriamowi, z którym prof. Pini ma mocno na pieńku.

Miriam ma w stosunku do Norwida (i nietylko w stosunku do niego) wiele grzechów na sumieniu i postępowanie jego może obudzić gniew nawet w człowieku o łagodności franciszkańskiej. Jednakże gniew ten powinien się ujawnić w jakiejś innej, właściwszej formie, a nie w pomniejszaniu — na złość Miriamowi - odkrywcy — samego Norwida. Przypomina to doprawdy owych pokłóconych woźniców, którzy okładali batem pasażera...

Wytworzyła się teraz sytuacja bardzo skomplikowana. Ludzie przestają się orjentować kto z kim i po czyjej stronie. Przeciętna publiczność i tak już nie mogła zrozumieć, dlaczego celem ataków wszystkich niemal miłośników Norwida jest Miriam, który go „odkrył" i pisał o nim w patetycznych superlatywach; tem mniej zdolna jest ona zrozumieć, dlaczego prof. Pini, realizujący nareszcie to upragnione wydanie zbiorowe, równocześnie w przedmowie do niego dyskredytuje poetę, strącając go z piedestału, na który wyniosła go — po tylu krzywdach — sprawiedliwość historyczna. Życie jednak lubuje się w takich paradoksach, piętrząc przed nami wciąż zagadki i nieporozumienia.

Rezultaty tego pogmatwania, zawilszego niż same pisma poety, nie dają na siebie czekać. Oto Słonimski w „Wiadomościach Literackich" atakuje z tej okazji Miriama i ochoczo przyklaskuje przytem przedmowie prof. Piniego, który słusznie — podług klasycznych reguł i metod szkoły Boya — „odbronzowuje" przechwalonego Norwida. Oto p. Stefan Grzybowski w „Czasie", przedstawiając się jako „Norwidowiec", przeciwstawia się ostro Słonimskiemu i całej walce, „jaką niedawno wytoczyły Wiadomości Literackie wespół z Zetem i Jutrem Pracy Miriamowi, zarzucając mu długoletnie przetrzymywanie rękopisów Norwida", i staje po stronie Miriama, przyznając mu rację, jako oskarżycielowi prof. Piniego (zdaniem p. Grzybowskiego wydanie Piniego powinno być rzeczywiście przez sąd zasekwestrowane i wycofane z obiegu).

To: „wespół z Zetem" jest rozczulające. „Wiadomości Literackie" i „Zet", jak dwa gołąbki, czy raczej jak Kastor i Polluks obok siebie, wypowiadające walkę jednemu wrogowi, w obronie najwyższych kreacyj polskiego genjuszu narodowego! Gdybyż to kiedyś nastąpiło; niczego innego nie pragniemy, jak nawrócenia zbłąkanego grzesznika: A zresztą „zgoda buduje, niezgoda rujnuje". W tym wypadku jednak p. Grzybowski omylił się. Poniósł go gniew przeciwko przedmowie Piniego, a więc i przeciw gloryfikującemu to wydawnictwo Słonimskiemu; ponieważ zaś wiedział o procesie Miriama z Zetem, wydało mu się, że to wszystko „jedna paczka". Tymczasem motywy owego wystąpienia „Zetu" były zupełnie inne, niż obecne motywy Słonimskiego. „Zet" potępia w równej mierze egoistyczne praktyki Miriama, jak krzywdzące, i skandaliczne pod wielu względami, zarzuty Piniego przeciwko twórczości Norwida. Dałem temu wyraz w mojem omówieniu „Pism zebranych" w N-rze 13-tym „Zetu" (z 1 października b. r.), zajmując jednakowo krytyczną postawę wobec obu tych wydawców - norwidologów:

„Jeżeli przedmowy i komentarze Miriama gniewają bombastyczną napuszonością i deklamatorskiem wykrzykiwaniem superlatywów, bez ich uzasadnienia i bez wyświetlenia nawet właściwego sensu metafizycznego poezji norwidowej, to przedmowa niniejsza dziwi i oburza płytkością i jednostronnością podejścia do osobowości poety, wyrażonej tak plastycznie w jego dziełach".

Jeżeli można wybaczyć prof. Piniemu brak logiki, ujawniony w wydaniu dzieła, które jednocześnie dyskwalifikuje w oczach czytelników, oraz w nadaniu postaci wydawnictwa popularnego dla szerokich mas temu, co on sam nazywa „poezją dla garstki wybranych", — jeżeli można mu wybaczyć zniekształcenia stylu („usunięcie dziwactw pisowni i interpunkcji"), dokonane w imię popularyzacji dzieła, — to absolutnie niewybaczalny jest ów symplicyzm, z jakim pozwala sobie autor przedmowy wygłaszać apodyktyczne sądy o jednym z najtrudniejszych do zgłębienia i do recepcji estetycznej poetów świata.

Słusznie też ujął się za Norwidem na łamach literackiego „Czasu" Ludwik Hieronim Morstin, żądając od wydawcy więcej pokory w obliczu genjuszu. Prof. Pini odpowiada mu wprawdzie (tamże), że nie uważa za potrzebne korzyć się przed kimś, kogo wcale za genjusza nie uważa, jednakże prosty takt nakazuje ostrożność w sądach o twórcy, który przeszedł już przez filtr oceny artystycznej (i to nie „tłumu", lecz koryfeuszy krytyki i literatury) i został uwieńczony, ciężko zaiste wywalczonym, wawrzynem. Laury bowiem mają to do siebie, że łatwo je zdzierać, lecz zdobywa się je trudem i męką całego życia, samoofiarą twórczą całego swego „ja".

Gdybyż Norwid był jedną z tych łątek jednodniówek, z tych „sław już za życia", które „pieją" mile dla współczesnego ucha (jak Pol, czy Lenartowicz, więksi w ówczesnej opinji ogółu nawet od Mickiewicza). Ale Norwid przerósł swoją epokę i już to, że dzisiaj — w konfrontacji z dniem nowym — tak namiętnie budzi walki, tak sprzeczne wywołuje sądy i tak fanatycznych znajduje *właśnie wśród młodej poezji* zwolenników, dowodzi, że jest to zjawisko niepospolite, do którego istoty wnętrznej trzeba sobie torować drogę ostrożnie i żmudnie.

Także wielostronność osobowości Norwida, powodująca taką mnogość przeciwstawnych interpretacyj, lapidarna syntetyczność jego sztuki, rzadka nawet u genjuszów wszechstronność uzdolnień (poeta, myśliciel, dramaturg, malarz, muzyk), wreszcie owa zdumiewająca rozległość horyzontów, pozwalająca mu obejmować całokształt ludzkich dziejów — powinny zastanowić prof. Piniego i nakazać mu szacunek wobec fenomenu, którego widocznie tylko odmienne dyspozycje psychiczne nie dają mu zrozumieć.

Zbyt pochopnie odsądził prof. Pini twórczość Norwida od głębszych walorów metafizycznych; czyżby uważał się za autorytet w tej dziedzinie? Niechże przeczyta sobie, co pisze o metafizyce Norwida taki Brzozowski, filozof o niepospolitym zmyśle spekulatywnym, wszechstronnie zaznajomiony z najwyższemi kreacjami filozoficznego „esprit" nowożytnej Europy.

Odpowiedzią swoją p. Morstinowi Pini nie wytłumaczył jeszcze wcale zajętego przez siebie stanowiska. Oczekujemy tedy od niego dalszych wynurzeń.

Bronisław Borkowski.

Odpowiedź p. Waligórze

(Zamieszczając odpowiedź A. Ł. Cybulskiego na artykuł M. Waligóry p. t. „W obronie prawdy", zaznaczamy, że z powodu przewlekania się tej dyskusji, nie będziemy jej już dalej kontynuować. Uważamy zresztą, że A. Ł. Cybulski definitywnie udowodnił słuszność koncepcji „rozdwojenia osobowości" Mickiewicza na Genjusza i Konrada, cytując autorytatywne słowa samego Wyspiańskiego z wywiadu jego z Kotarbińskim. *Redakcja).*

Chociaż myślałem, że nie ma wymysłu, któryby mnie mógł jeszcze zdziwić ze strony p. Waligóry, jestem nieco zdziwiony jego ostatnim występem. Jeżeli p. Waligóra po tem, co w N-rze 59 „Zetu" pisałem, jeszcze nie zrozumiał, że to czego bronię, jest nie moją a własną Wyspiańskiego „interpretacją" i że z całej jego o Przybyszewskim historyjki, wobec tych własnych słów autora Wyzwolenia, nie ostaje się absolutnie nic — jest z nim gorzej jeszcze aniżeli myślałem. Wobec tego, że p. Waligóra lepiej od Wyspiańskiego wie, co Wyspiański myślał pisząc Wyzwolenie, jest zupełnie naturalne: 1) że lepiej odemnie wie, co myślałem pisząc o napisie w izbie Wesela, 2) że mi to teraz z koleji tłumaczy i 3) że napis, motto rozdziału i tytuł książki mieszając a teraz już nawet Wesele do osoby ściągając Przybyszewskiego, czyni także i z tego bezsensowny bałagan. Ubliżyłbym Czytelnikom „Zetu" przypuszczając, że to potrzebuję prostować.

Objaśnię więc tylko p. Waligórę — choć lękam się, że dla niego także normy etyczne „nie znoszą żadnych domieszek spekulatywnych" — co nazwałem nieuczciwą metodą. Nazwałem tak i nazywam: z prawdą niezgodne wymysły w sprawach, co do których jaka taka znajomość istniejącej o Wyspiańskim literatury i żywej jeszcze tradycji, piszącego o Nim poinformować może i *powinna*. Tak było z rzekomym materjałem dowodowym „tezy" o Przybyszewskim skarykaturowanym jako pomnik Mickiewicza, materjałem, w którym p. Waligóra, powszechnie badaczom Wyspiańskiego znane, fakty — zastąpił fantazjami własnego wyrobu. Była to zabawa względnie nieszkodliwa, poniekąd nawet swym zamiarem brania w obronę Mickiewicza... przed nim samym, sympatyczna. Gdy jednak proste wskazanie na odnośne listy i artykuły Wyspiańskiego oraz ogłoszenie wywiadu z Kotarbińskim, wyeliminowało wszystko, co w pewnej mierze (u kogoś przynajmniej, kto wszystko redukuje do spraw personalnych), mogło ją usprawiedliwiać — p. Waligóra ulepszył swoją metodę. Zabrał się do czci człowieka, który się już bronić nie może. Że p. Waligóra Lacka nigdy nie czytał — lub tak czytał, jak czyta Wyspiańskiego — stwierdza to w swej odpowiedzi, gdzie pisze, że „u Lacka, jak i jego satelitów, Konrad — to Wyspiański, a Genjusz — to Mickiewicz". Jest to nieprawdą, bo nietylko Lack nigdy tego idjotyzmu nie napisał ale postacią Mickiewicza w Wyzwoleniu *wogóle* się nie zajmował — i jest ten wymysł, sam w sobie niewinny, tak samo kłamstwem, jak *potworne* (dla tych, co choćby z jakiem takiem zrozumieniem Lacka - pisarza czytali) przypisywanie mu przez p. Waligórę roli, o której na innem miejscu wspominam.

Jestem w znacznej mierze „antysemitą", co nie przeszkadza mi czcić pamięć Lacka, jako jednego z trzech moralnie i intellektualnie najpiękniejszych ludzi, z jakimi się w Polsce zetknąłem. I uważam, że szarpanie czci człowieka, z którego tyle tylko się zrozumiało, że był Żydem — i dlatego tylko, że był Żydem — sądzi się samo. Tak samo, jak sądzi tezę, w której obronie do takich sięgać trzeba argumentów.

I wiem, że i tu także nazwanie rzeczy po imieniu nazwane będzie „terrorem".

A. Ł. C.

Literatura zagranicą

Dickensa „Żywot Pana naszego Jezusa Chrystusa" wydano w przekładzie na język niemiecki (Albatross - Verlag, Hamburg). Opowieść tę napisał Dickens dla swych dzieci na Boże Narodzenie. Dar ojca — manuskrypt — był przez dzieci z pietyzmem przechowywany i nie oddany do druku wraz z innemi ineditami po śmierci wielkiego pisarza. Niedawno zmarł ostatni syn Charles'a Dickensa, sir Henri i dopiero teraz ta piękna opowieść została wydana.

Olaf Gulbransson wydał życiorys własny p. t. „Było teraz..." Autobiografję zdobi 200 rycin (Nakł. R. Piper et Co, Monachjum).

Pierwszą biografję Szekspira w języku włoskim opracował Diego Angieli i wydał p. t. „La vita di Gugliemo Shakespeare", nakładem wyd. Treves w Medjolanie.

Ukazał się pamiętnik Marji Hesse, matki znanego pisarza niemieckiego, Hermanna Hesse, córki słynnego niemieckiego misjonarza i orjentalisty, dr. H. Gunderta. Ojciec jej udał się w r. 1836 na pustynię Malabar i tam pracując jako misjonarz, równocześnie studjował wiele indyjskich języków, i stał się znawcą tamtejszych stosunków kulturalnych i religijnych. Marja Hesse urodziła się tam w r. 1842. Od wczesnej młodości aż do późnych lat pisała pamiętnik, który obecnie, po jej śmierci opublikowano p. t. „Maria Hesse. Ein Lebensbild in Briefen und Tagebüchern von Adele Gundert" (Stuttgart). Książka interesująca ze względu na wpływ psychiki matki i jej znajomości religij hinduskich na umysłowość Hermanna Hesse.

Stendhal-Club w Paryżu wydał, jako zeszyt 34 swych publikacyj, bibljografję Stendhala za rok 1932—1933, w opracowaniu Ludwika Royera.

Studja o wielkich twórcach włoskich wydał p. t. „Saggi di letteratura" — A. Marpicati (Le Mounier—Florencja). Są to prace o Wergilim, Petrarce, Dantem, Parinim, Manzonim. Pascalim, d'Annunziu.

Obszerną pracę o literaturze włoskiej wydał G. Toffanin i S. Sborselli p. t. „La letteratura Italiana" nakładem F. Perelli w Neapolu. Ogromna ta monografja obejmuje historję literatury włoskiej od jej początków datujących się z XII w. aż po rewolucję faszystowską. Specjalnie obszernie omówiono twórczość czołowych poetów Włoch, jak Danta, Ariosta, Petrarki, Torquatto Tassa, aż do Leopardiego, Pascali, d'Annunzia.

Książki i czasopisma

Roman Kołoniecki: Solo fletowe. Poezje. Warszawa 1934. Wydawnictwo Droga. Str. 78.

Paweł Zajcew: Szewczenko i Polacy. Warszawa 1934. Bibljoteka „Biuletynu Polsko-Ukraińskiego", str. 83.

Kamena (r. II nr. 2). Stanisław Czernik: Poeci Lubelszczyzny: Jan Brzękowski: Rewizja w imię treści; Józef Łobodowski: Sobie samemu; G. Timofiejew: Żyrardów; M. Czuchnowski: Z poematu „Trudny życiorys"; Emil Biedrzycki: Z nowszej poezji rumuńskiej; Tad. Hollender: Przekłady z poezji rumuńskiej; K. A. Jaworski: Przekład „Scytów" A. Błoka; J. Czechowicz: Przekład „Nocy" J. Horzejszi'ego; Stanisław Piętak: Dla poematu; W. Kasperski: Wieczór; Antoni Madej: Droga do domu; wkładka linorytowa Z. Waśniewskiego.

Nowa Książka (r. I. z. 8). J. Lorentowicz: Nasze przekłady literackie; B. Sobociński: J. Lindworsky'ego, ks. T. J. „Psychologja eksperymentalna"; J. Lorentowicz: B. M. Lepeckiego kpt. „Sybir bez przekleństw"; J. St. Bystroń: B. Stelmachowskiej „Rok obrzędowy na Pomorzu"; J. Gołąbek: „Projekt transkrypcji z języka rosyjskiego na język polski"; S. Cywiński: M. Waligóry „Klątwa legendy"; W. Tokarz: E. Gulczyńskiego „Rok 1830—31 w Wilnie"; E. Taylor: W. Krzyżanowskiego prof. dr. „Polityka ekonomiczna faszyzmu"; P. Hulka-Laskowski: A. Nowaczyńskiego „Plewy i perły"; S. Cywiński: M. Zdziechowskiego „Od Petersburga do Leningradu"; L. Chmaj: M. Dybowskiego „O sposobie obserwowania dzieci"; J. Grabowski: F. Kruszewskiej „O bałwanach śniegowych i świerczynce"; J. Lorentowicz: K. Alberti „Ci, którzy przyjdą"; P. Hulka-Laskowski: L. Andrego „Toast weselny"; E. Woroniecki: I. Badowskiej „Poeta i mniszka"; H. Galle: W. Hordysza „Dusza odchodząca"; T. Sinko: K. Janickiego „Utwory łacińskie"; K. Czachowski: A. Marczyńskiego „Jutro"; K. W. Zawodziński: J. Tuwima „Jarmark rymów"; H. Galle: J. M. Rytarda „Dalekie spojrzenie"; W. Hahn „Stulecie Teatru Wielkiego w Warszawie"; T. Grabowski: St. Ossowskiego „U podstaw estetyki"; L. Niemojewski: T. Tołwińskiego „Urbanistyka"; Kronika; bibljografja; prasa.

Biuletyn Polsko - Ukraiński (r. III nr. 41). O uczciwość w stosunkach wzajemnych; M. Andrusiak: : Szeptyccy; E. Głowińskyj: Myśl ekonomiczna ukraińska w swoim rozwoju historycznym; Z działalności wydawniczej Ukraińskiego Instytutu Naukowego.

Die neue Weltbühne (r. III. nr. 42). H. Budzislawski: Die Mörder: H. von Gerlach: Barthou und Hitler; Kurt Hiller: Zur Mathematik der Situation; A. Kuh: An einen Kraus-Jünger; E. Ottwald: Piscators erster Film; H. Pol: Deutscher Wirtschaftswinter.

Biuletyn Polsko-Ukraiński (r. III. nr. 42). „Łuny" jako eksperyment polskiej polityki konstruktywnej na Rusi Czerwonej; H. I. Łubieński: Chełmszczyzna a Kościół Grecko-Katolicki w Galicji; L. Krumholz: Stosunki gospodarcze ukraińsko-żydowskie; J. Lipowiecki: Na szlaku sowieckiej „astrachańszczyzny".

Wronskiana

W Nr. 246 „Kurjera Warszawskiego" ukazał się krótki, lecz treściwy artykuł M. Cz. Przewóskiej, w którym autorka daje zarys ożywionego ruchu we Francji dokoła doktryny filozofji absolutnej oraz osoby jej twórcy, Hoene - Wrońskiego. Autorka przypomina, że wkrótce ma być wzniesiony H.-Wrońskiemu pomnik w Neuilly koło Paryża i przy sposobności mówi o podjętej przez T-wo Hoene-Wrońskiego w Warszawie pracy nad odtworzeniem i przetworzeniem w Polsce nauki wielkiego oświeciciela ludzkości.

Na międzynarodowej wystawie sztuki kobiecej w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie, wystawiono popiersie H.-Wrońskiego dłuta Zofji Wendrowskiej-Soboltowej.

REDAKCJA: Jerzy Braun, Krosno, Rafinerja nafty (Małopolska). Kraków — Tadeusz Kudliński, Słoneczna 15 m. 9.
ADMINISTRACJA: Warszawa, Chmielna 68 m. 37 Prenumerata: kwartalna 3 zł., półroczna 5 zł., roczna 10 zł. Konto P. K. O. Warszawa — Jerzy Braun 153.210
Zakłady Graficzne Tow. Wyd. „BLUSZCZ", Warszawa, Solec 87.